MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XI. Nr. 22. WARSZAWA, 3 MAJA 1931 R. CENA NUMERU 80 GR.

OJCOM NA CHWAŁĘ

Artykuł niniejszy, użyczony nam łaskawie przez prof. Stefana Dąbrowskiego, jest dosłownym tekstem przemówienia Jana Kasprowicza, na obchodzie Konstytucji Trzeciego Maja, w r. 1915 w Zakopanem. Dotychczas znane ono było jedynie w tekście niepełnym, ze skreśleniami dokonanemi przez cenzurę austrjacką, i w tej też formie przedrukował je Stefan Kołaczkowski w zbiorowem wydaniu „Dzieł" Kasprowicza (tom XXII, str. 110 — 118, Kraków, 1930). Zdania, skreślone przez cenzurę, drukujemy kursywą.

W sto czterdziestą rocznicę Konstytucji Majowej przypominamy „nieprawomyślne" przemówienie Kasprowicza nietylko przez pietyzm, jaki budzić powinna każda, najdrobniejsza nawet pamiątka po genjalnym twórcy „Hymnów" i „Księgi ubogich". Przypominamy je równocześnie jako przestrogę, by uprzytomnić, jak humorystycznie przedstawia się gorliwość cenzorów, oglądana już w perspektywie lat kilkunastu i jak w niczem nie przyczyniła się owa gorliwość do ocalenia na nieuchronny upadek skazanej, gnijącej i rozkładającej się od wewnątrz monarchji Habsburgów. (Przyp. Red.).

GDYBY jakiś człowiek obcy, nie znający dziejów naszych, nie rozumiejący duszy naszej, a kierujący się tylko bezwzględną, ślepą, współczucia pozbawioną racją stanu, otrzymał przypadkowo kilka kartek, wydartych z całokształtu księgi historycznej, a przedstawiających stosunki z czasu przed narodzinami Konstytucji majowej, kilka kartek, wyszłych nie z pod jakiegoś specjalnie wrogiego nam pióra, ale dyktowanych nawet sercem naszych, polskich autorów, to trudno byłoby mu się dziwić, że kartki te odrzuciłby ze wstrętem i przyklasnął argumentacjom, jakiemi postępek swój osłoniły potęgi, które kładły kres politycznej samodzielności Rzeczypospolitej.

Bo wyobraźmy sobie państwo, w którego granice, bez poprzedniego wypowiedzenia wojny, wkracza kilkadziesiąt tysięcy cudzego wojska, ażeby, z bronią w ręku, nie dopuścić do szukania środków ratunku, gdyby komu ratować się chciało.

Wyobraźmy sobie państwo, w którem taki Repnin, obskakiwany przez panów i narzucające mu się damy polskie, potrafi wszcząć rokosz szlachty przeciw własnemu jej królowi, mającemu przynajmniej chwilami poczucie odpowiedzialności wobec stanowiska swego, jako monarchy narodu o wspaniałych, świetnych dniach minionych.

Wyobraźmy sobie tych prymasów i biskupów, tych wojewodów i hetmanów, tych referendarzy i kanclerzy koronnych, jak bezwstydnie sięgają po żołd z ręki wroga.

Uprzytomnijmy sobie te tłumy szlachty, za jadło i napitek użyczające przepłaconym również wielmożom szabli i krzykliwego gardła dla rozbijania sprawy publicznej, dla przygłuszania ewentualnych głosów, domagających się naprawy, usunięcia bezprzykładnej zgnilizny.

Wyobraźmy sobie wreszcie te bierne, ciemne masy ludu, które znały tylko jedno: niewolę.

Uprzytomnijmy sobie to wszystko, a będziemy mieli obraz w swoim rodzaju niezwykły, o barwach tak ponurych, tak tragicznych, że równy mu chyba trudno znaleźć w dziejach świata.

A przecież — i to jest chwałą ojców naszych — w dniach największego upodlenia znaleźli się ludzie, przez których przemówiło sumienie narodu, znaleźli się ludzie, którzy mieli odwagę powiedzieć wrogom, że „Polakowi można zdjąć żupan i kontusz, ale koszuli zedrzeć ze siebie nie pozwoli", znaleźli się ludzie, którzy wołali, że „i stu tysięcy się nie ulękną, lecz krew przeleją za Ojczyznę", i wołanie to poparli czynem. Z tła posępnego malowidła, zapełnionego tłuszczą zaprzedańców i wszelkiego gatunku utytułowanych lichot moralnych, wybiegają świetliste postaci Sołtyków, Załuskich, Krasińskich, Pułaskich, Potockich, Małachowskich i tylu a tylu innych; rozwiązły, niepomiarkowany gwar zdradzieckiego targowiska o rzuconą na łup szatę Polski przerywa rozpaczliwy, a jednak o nieubitej żywotności narodu świadczący krzyk Rejtanów; w sejmowej również sali rozlega się potężne wołanie Wacława Rzewuskiego, przyzywające umarłych przodków na świadki, „na jakie straszne zamachy, na jakie praw rozwaliny zmuszeni są patrzeć ich wnukowie".

W chwilach, w których mniemanoby, że niema żadnego już wyjścia z tych piekieł, ziejących ogniem zagłady dla wszelkich niemal warunków bytu narodu; w chwilach, kiedy mniemanoby, że

sumienie narodu pozbyło się całkowicie przymiotu sędziego, który wyrokami swemi daje dla długich pokoleń świadectwo sprawiedliwości, w chwilach tych sumienie to przywołuje przed trybunał swój takich Ponińskich czy Massalskich i zasłużoną wymierza im karę.

Wymierza ją dla dobra i na postrach dla tych długich, przyszłych pokoleń, któreby się rumieniły ze wstydu, któreby straciły szacunek dla popiołów ojców swoich, które postradałyby wiarę nietylko w swą nieśmiertelną żywotność, lecz wogóle w wszelką rację, w wszelką potrzebę, w wszelką konieczność bytu swojego, gdyby choć na moment wpadło im do głowy straszne, niesamowite przypuszczenie, że mogło się stać inaczej, że sumienie narodu straciło tak bezwzględnie wrażliwość na to, co jest szlachetne, a co nikczemne, na to, co warunkuje życie tego narodu, a co prędzej, czy później, choćby po wiekach śmierćby mu przynieść musiało.

A nie jest-że to dziwnym na pozór objawem, że ci, którzy nie znaleźli dostatecznej siły w sobie, ażeby oprzeć się zakusom „przyjaciół" czy nieprzyjaciół, że nawet ci, którzy wprost nie umieli sobie wyobrazić, iż kraj znękany sam się urządzić może, co więcej, do zbrodniczej nawet dochodzili rady, zalecającej uległość „zaborczym potencjom", zdobywali się przecież na zrozumienie potrzeby tego kraju w jednym przynajmniej kierunku, w kierunku oświaty i w komisji edukacyjnej, obok obywateli nieskalanych, z pożytkiem pracować zdołali.

Wśród ustawicznych wahań pomiędzy liczeniem na „przyjaciół", którzy w sromotny zawodzili sposób, a między samorzutnemi, z ducha narodu płynącemi zabiegami o ocalenie i utrwalenie bytu tak okrutnie sprawionej Rzeczypospolitej, zrodził się akt Konstytucji, ten najwspanialszy, najpotężniejszy wytwór samorzutności i niezależności duszy narodowej, a zarazem najgłębsze dla nas źródło chwały ojców naszych, najbardziej bijące w oczy świadectwo niezniszczalnej siły społeczeństwa, świadectwo, z którego znakomitą sprawę zdawali sobie współcześni.

„Długo, aż nazbyt długo" — wołał na sejmie konstytucyjnym poseł Linowski — „długo, aż nazbyt długo i cnotę i światło Polaka tłumił duch obcy i duch wewnętrznego możnowładztwa. Czem był przez dwa wieki Polak? Narzędziem nikczemnem, którego używano pod hasłem niezrozumiałej wolności, na posługę lub dla interesu sąsiada lub przemożnego pana. Zmamiony służył dumie swoich zwodzicieli; spodlony nie czuł prawa obrony, bo nie od niego, ale od możnowładców, nad prawo wyższych, los jego i bezpieczeństwo zawisły".

Konstytucja majowa była pierwszą, na wielką skalę zakreśloną próbą wewnętrznego zjednoczenia narodu. Była zapoczątkowaniem drogi, którą miał kroczyć ten naród, ażeby dojść do rozkwitu samodzielnej siły, ażeby nie stanąć przerażony przed workiem żebraczym, którýby mu na plecy zarzuciły losy, ażeby nie nachylić się po jarzmo, w które z cynicznym czy dobrotliwym uśmiechem wprzęgałoby go Przeznaczenie. Niestety! nie oszczędzono mu tej goryczy. Wielkiej inicjatywy wielkiego, zbawczego dzieła nie mógł on urzeczywistnić na obszarach wolnej i niepodległej Polski. Ale chwalebna inicjatywa ojców taki nieprzeparty posiadała w sobie urok, taki potężny mieściła w sobie zadatek wyzwalającej prawdy, skuteczniejszej od miecza i działa, bo bez niej miecz i działo martwem są tylko narzędziem, że naród, na trzy podzielony części, nie poprzestał jednoczyć się wewnętrznie pod jej hasłem. Jakąkolwiek i w jakiejkolwiek dzielnicy rozpoczynał pracę wyzwoleńczą, rozpoczynał ją pod hasłem Konstytucji, pod jej hasłem szedł do zaniedbanej czy pomiatanej podstawy narodu, do ludu, pod jej hasłem powstańcze, białoczerwone rozwijał sztandary. Zrozumiał, że Konstytucja, wyrosła na tak strasznych zgliszczach i gruzach moralnych i materjalnych, a kładąca podwaliny pod nową, a tak wspaniale zarysowaną budowę, jest najbardziej skupionym symbolem jego żywotności.

Jest coś jakby z tajemniczego, mistycznego, powiedziałbym, cudu, że ta żywotność nasza objawia się najpotężniej w chwilach najtragiczniejszych. Taką chwilę przeżywamy dzisiaj, chwilę tak tragiczną, że osłupiały umysł ludzki, patrząc na nią, dochodzi niemal do zmartwiałego zobojętnienia, bo nie może pojąć, aby to wszystko, co się dzieje, było prawdą, nagą, rzeczywistą, oczy krwawym blaskiem oślepiającą prawdą.

Wojna o niepolskie interesy na polskich rozgrywa się obszarach, polskie walą się miasta, w zgliszczach polskie leżą sioła, setki tysięcy Polaków, wygnanych żelazną ręką wojny idzie na poniewierkę do obcych, naraża się na przekąs i wzgardę. Lud polski, zagrożony głodem i chorobą, strwożonemi patrzy oczyma, jak niejednokrotnie wśród huku dział i poświstu szrapneli z nadludzkiem bohaterstwem posiany zagon jego niszczy przewalająca się fala niepojętej dlań katastrofy.

A wśród tych, którzy dzięki zrządzeniom złowrogiego losu wdzierają się kołami armat w łany polskie, nasi rodzeni walczą bracia. Polak, w obcą wtłoczony armję, mierzy do Polaka, po przeciwnej walczącego stronie, ze ślepem ubija go męstwem, bo inaczej uczynić nie może. Ma przynajmniej nadzieję żołnierz z tej dzielnicy, nadzieję, opartą na przyjaznym, życzliwym stosunku monarchy do zagarniętej części narodu, natomiast reszta, przeważna reszta braci naszych, nauczona doświadczeniem, płynącem z wiekowego ucisku, idzie na rzeź bratobójczą bez nadziei, bez otuchy, bez złudnej świadomości, że zabija, czy zabity będzie za sprawę swoją.

Nic naturalniejszego, jak przypuszczenie, że w takich warunkach i najsilniejszy naród mógłby opuścić ręce, mógłby w bezczynną popaść rozpacz, mógłby stracić wiarę w rację swego istnienia, a cóż dopiero naród, pozbawiony tych wszystkich środków, jakich do walki i podźwignięcia się z gruzów i popiołów dostarcza niezawisły byt polityczny.

A przecież my, choć środków tych nie posiadamy, nie poprzestajemy — śród warunków, jakich żaden naród na świecie dotychczas nie przyżywał, bo przykład wspomnieniami dziejowemi związanej z nami Belgji blednie przy naszych nieszczęściach,— a przecież my nie przestajemy dawać dowodów żywotności. Dźwigamy się i na pociechę i otuchę powiedzieć nam wolno, iż dźwigamy się może i potężniej, niż dźwigali się ojcowie nasi w epoce rozbiorowych pogromów. A dźwiganie to będzie niewątpliwie skuteczniejsze, bo niema dziś między nami zaprzedańców i jurgieltników, a i liczba oglądających się na cudzą pomoc z dniem każdym maleje.

Wrodzonym wiedzion instynktem, który niejednokrotnie owocniejszym bywa od rozumu i uczucia, chłop nasz, wypadkami wojny usunięty ze swej chaty, powraca do niej z twórczego nałogu i skrzętnie obsiewa swe pole, nie bacząc, że przy pracy tej pług czy rydel kula z ręki mu wytrąci i razem z oczami nadzieję żniwa na zawsze mu zgasi.

Tam, za kordonem, w Królestwie, którego dzieje, przesiąknięte krwią, wypełnione katorgą,

stały się synonimem martyrologji naszej, robota wre w całej pełni. A przy robocie tej święci trjumf pamięć wielkiej Konstytucji: nieszczęście narodu zbratało wszystkich. Od księcia do najbiedniejszego stróża — wszyscy w jednym stają szeregu i skuteczne zdobywają środki dla ulżenia nędzy z myślą o przyszłości, skutecznie znoszą już dzisiaj cegły na odbudowę miast i wsi polskich. Wszyscy, jak jeden mąż, pragną jedynie tego, aby Polska wyszła z tej klęski zasobniejsza i piękniejsza, aby do trjumfalnego „Te Deum" w odświętnej stanęła szacie. A wiarę mają tylko w siebie i w niezniszczalną potęgę duszy polskiej, a postępują z godnością, *z godnością, która nie ma nic wspólnego z tym czy owym „filizmem". Bo nieprawdą jest, ażeby myśl towarzysząca tej pracy odnowczej, dała się zaćmiewać jakąkolwiek złudą, z zewnątrz płynącą. Nie dla przyjaciół zabiegamy czy nieprzyjaciół, ale dla siebie, dla Polski.*

A ta kolebka naszego życia, ta na głęboką miłość zasługująca ziemia wielkopolska, która śród zawieruchy wojennej umiała zaznaczyć z trybuny sejmowej, przez usta posła Trąmpczyńskiego, swe prawo do bytu, czyż w tych ciężkich czasach dzisiejszych zapomniała, że jest przecież cząstką w myśl Konstytucji wewnętrznie zespolonego narodu? Zachowując z tak niezmiernym taktem godność społeczeństwa, świadomego swej przeszłości i przyszłości, odpierając ze spokojem i rozwagą wszystkie ciosy, czyż nie może z dumą powiedzieć o sobie, że zahartowawszy do tego przeboju wszystkie swe warstwy, zrozumiała zamiary Konstytucji, że zamiary te rozwija dalej, że wprowadza je w czyn, który prędzej czy później uwieńczon będzie odżyciem.

W wytrwałych zapasach, odpierając napór ekonomicznej przewagi obcej, utrwaliła swój byt materjalny, a utwaliła go nie dlatego, ażeby zamknąć się w ciasnych granicach samolubnych używań, ale — jak właśnie dzisiaj liczne mamy na to dowody — w tem przeświadczeniu, że byt materjalny jest również jednym z najkardynalniejszych warunków narodowej trwałości.

W tem też przeświadczeniu, rozumiejąc zasady Konstytucji, zmierzające do wewnętrznego zespolenia narodu, stając w akcji swej obok na szeroką skalę zakreślonej, ratunkowej działalności Sienkiewiczów, Paderewskich, Sapiehów, których świetne, duchem obywatelskim przejęte nazwiska potomność przekazywać będzie potomności, nieskąpemi rzuca rękami grosz, ciężką zdobyty pracą, aby ulżyć niedoli, jaką wojna dzisiejsza na inne nasze sprowadza dzielnice. A rzucając ten grosz, zamyka się dalej w swych dworach, w swych domach mieszczańskich, w swych chatach chłopskich, ażeby w potomstwo swoje wpajać potrzebę zachowania języka ojczystego, wpajać konieczność zachowania duszy ojczystej, nieskażonej żadnym egoistycznym, pożytkowym kompromisem, ażeby z myślą, iż tylko jedna może matka, uczyć potomstwo swoje niezachwianej niczem potrzeby opierania się na samych sobie.

Postępując w ten sposób, społeczeństwo wielkopolskie wie o tem dobrze, że w katastrofalnych zawikłaniach dziejowych na pierwszem miejscu staje nie hasło honoru śmierci, lecz hasło honoru życia, że w zawikłaniach tych rozstrzyga nic innego, jak tylko interes tego życia.

I jeżeli ktoś kiedyś w sposób lekkomyślny miałby niewczesną odwagę stanowisko takie nazwać „tępotą polityczną", temu z całą, z sumienia narodowego płynącą odpowiedzieć można śmiałością, że przy pozorach wiary w przyszłość narodu pozbył się całkowicie wiary w żywotną siłę narodu, że ślepy jest, głuchy i tępy na wszystko, co dla innych aż nazbyt widocznem jest zjawiskiem, zjawiskiem, którego świadkiem był ten z jednej strony tak smutny, a z drugiej tak radosny, bo zadatki nowego życia mający okres narodzin Konstytucji.

Historja jest mistrzynią życia — znany nam wszystkim frazes, przestaje on jednak być frazesem, jeżeli, po ustaleniu się pewnych wypadków, po uspokojeniu się zamętu bezpośredniości dziejowej, nad wypadkami temi zastanowimy się z perspektywy objektywnego, wrzekomemi potrzebami danej chwili nie zaćmionego widzenia.

Uczy nas dziejopis, że w epoce, kiedy naród polski, po haniebnych rządach Sasów doszedł do szczytu rozpustnego lekceważenia najwyższych dobr swoich, kiedy, mówiąc słowami Czartoryskiego „rozumiał i chełpił się, że jest wolny, a jęczał pod jarzmem niewoli, kiedy leciał w przepaść, kiedy Królestwo Polskie było jako dom przechodni, jak gmach, wiatrami skołatany, jak machina, do gruntu zbutwiała i zawaliną grożąca" — otóż uczy nas dziejopis, że w chwili tej społeczeństwo nasze, przeczuwając katastrofę, zaczęło szukać pomocy u sąsiadów. I zdawałoby się, iż szukanie to było uprawnione, bo oparte na deklaracji Rosji i Prus, zapewniających uroczyście, że „nie myślą wcale o oderwaniu jakiejkolwiek ziemi od Rzeczypospolitej, a do elekcji (z której wyszedł Stanisław August) mieszają się jedynie po to, by uszczęśliwić naród polski wyborem rodaka, znającego prawa i obyczaje i również zamiłowanego w swobodach ojczystych".

Przypomina dziejopis dalej, że mimo opierania się planom Fryderyka II, który kosztem Rzeczypospolitej chciał, jak mówił, zaspokoić roszczenia państw, uniknąć wojny i nie utracić zdobytych wawrzynów, zaczęto jeszcze przed podpisaniem pierwszego traktatu rozbiorowego, zagarniać ziemie zaprzyjaźnionego państwa.

Przypomina dziejopis dalej, że złudnym nadziejom patrjotów polskich, kołatających o łaskawość, dopominających się dobroci ze strony sąsiadów, powinien był położyć kres ów pod wezwaniem Trójcy świętej ratyfikowany akt historycznej niesprawiedliwości, jaką w dniu 5 sierpnia 1772 r. spełniono na Polsce.

Nastąpił drugi i trzeci rozbiór; Polska wymazaną została urzędowo i obrzędowo z mapy Europy, ale do tej pory *pokutuje jak krwawe widmo w sumieniach państw dzisiejszych*, w nas żyje całą pełnią odradzającego się coraz to bardziej życia i są niekłamne dzisiaj oznaki, iż żyć będzie dalej na wieki.

Świat niech pamięta, że jesteśmy Polakami i niczem więcej, jak tylko Polakami i że chcemy pozostać nimi na zawsze. Wierzymy, że tak się stanie, bo tak stać się musi. Wierzymy też wiarą najgłębszą i najszczytniejszą, że prędzej czy później zdobędziemy sobie warunki rozwoju, związane z politycznem zmartwychwstaniem. A gdy nastąpi ta chwila, radosny już, żadną troską, żadną trwogą nie zamącony hołd złożymy ojcom naszym za to, że śród największego rozgromu umieli zbudzić w duszy swej nieprzepartą żądzę trwałości narodowego życia, żądzę, która z nich przeszła na pokolenia i na pokolenia przechodzić będzie. I za to im chwała największa!

JAN KASPROWICZ

AUTOPORTRET MICHAŁA BOBRZYŃSKIEGO

MICHAŁ Bobrzyński wydał trzeci tom „Dziejów Polski“,*) obejmujący okres porozbiorowy. Gdy dwa poprzednie tomy opisują treściwie historję dziewięciu wieków naszej przeszłości, to ten trzeci, mówiący tylko o stu dwudziestu sześciu latach (od trzeciego rozbioru do Aleksandra Skrzyńskiego, czyżby to znaczyło: Polska między dwiema katastrofami) razi w porównaniu z poprzedniemi swoją niewspółmiernością szczegółowego wykładu. Ale to wszak nie jest błąd historyczny, tylko uchybienie architektoniczne. Powód jednak tej wadliwej struktury, niepowściągliwości pióra nie pochodzi z jakiegoś rozmachu twórczego, przyczyna tkwi głębiej, mianowicie w zupełnej nieudolności opanowania przedmiotu, w chęci i potrzebie zwalczania idej i koncepcyj, których autor nie rozumie, czy też nie chce rozumieć. Odnosi się to do czasów nam współczesnych, a przedewszystkiem do okresu wielkiej wojny i czterech lat początkowych odrodzonej naszej państwowości. Ujęciu przez Bobrzyńskiego dziejów tych właśnie lat końcowych pragnę kilka uwag poświęcić.

*

Wojna przewróciła całą ideologję,*) której hołdował Bobrzyński i zadała kłam jego orjentacjom politycznym. Jednocześnie życie naszego państwa co dnia wytyka błędy przeszłości i nawołuje do liczenia na własne siły. Profesor Bobrzyński powinien się był uznać dawno za zwyciężonego i tylko to dawałoby mu możność uzgodnienia swego poglądu historyka z prawdą dziejową i prawo zajęcia się syntezą przeżytych zdarzeń dziejowych. Lecz Bobrzyński nie uznał się za pokonanego. Stawia z przyzwyczajenia czy nałogu dawne, przedwojenne polityczne tezy, nad któremi przytaczane w jego „Dziejach“ fakty wykonywają niemiłosierny samosąd.

Dajemy głos panu profesorowi. „Misja historyczna Polski“ tkwi „w walce jej z Rosją“. (str. 349) „W chwili cofnięcia Rosji z Warszawy i z Królestwa wybiła dla narodu polskiego godzina, w której jednym wielkim porywem mógł był zaważyć na szali swoich losów“ (str. 358) Zdaje się, że Bobrzyński nie zapomina o treści adresu galicyjskiego do tronu. „Bez obawy odstępstwa od myśli narodowej, a z wiarą w posłannictwo Austrji... przy Tobie Najjaśniejszy Panie stoimy i stać chcemy“ (str. 249).

Co na to mówią fakty, przytoczone przez Bobrzyńskiego?

„Dnia 30 marca wydał więc rząd rewolucyjny proklamację do Polaków”, iż „naród rosyjski, który zrzucił jarzmo, przyznaje także polskiemu bratniemu narodowi pełne prawo stanowienia o swoim losie, według własnej woli“ (str. 367). „Szef sztabu generelnego generał Conrad uchwycił kierunek polityki, a niechętny Polakom, popierał Ukraińców, w okupacji zaś austrjackiej Królestwa nie dopuszczał do zaprowadzenia administracji cywilnej i zaprowadził wojskową, ściągając do niej oficerów niemieckich, czeskich i żydowskich, którzy wywoływali zgorszenie ludności korupcją i samowolą... Powracające wojska austrjackie okrutnie mściły się na rzekomych szpiegach“... (str 359). „Austro-Węgry, wyratowane przez wojska niemieckie po przegranej pod Łuckiem, zamiaru swego na Polskę utrzymać już nie miały siły“ (str. 362).

„Przegrali w sporze tym (o neutralność) aktywiści, zorganizowani w Ligę Państwowości i w Związek Państwowców, bo w społeczeństwie wielką stanowili mniejszość. Zwyciężyli pasywiści, Związek Międzypartyjny, którzy mieli wielką przewagę“ (str. 365).

„Cesarz Karol zwątpił zupełnie o sile Austro-Węgier... skończył na państwie ukraińskiem w pokoju brzeskim“ (str. 369)

Niedługo po Brześciu spoczął na Maderze.

Jakiegoż „wielkiego porywu“ oczekiwał Bobrzyński w 1915 r. od Warszawy po odejściu rosyjskich okupantów? Oczywiście skupienia się przy nowym okupancie, odwiecznym tępicielu narodu polskiego. Mogę pocieszyć p. Bobrzyńskiego, że były tegoż 5 sierpnia 1915 r. już o god. 12 (Niemcy weszli do Warszawy o 6-ej rano) robione starania w tym kierunku. W lokalu Tow. Lit. i Dzien. na Brackiej, gdzie przedstawiciele N. K. N. sprosili reprezentantów rozmaitych ugrupowań politycznych, nie dopuściliśmy do wydania radosnej odezwy pod patronatem pikelhauby niemieckiej.

Dajemy w dalszym ciągu Bobrzyńskiemu możność wypowiedzenia się w sprawach zasadniczych. „Piłsudski, jako naczelnik państwa i naczelny wódz mniemał, że z wojskiem tem może złamać Rosję, dopomóc Ukraińcom i Białorusinom do utworzenia osobnych państw, związanych federacyjnie z państwem polskiem, a do takiego samego związku nakłoni Litwinów. Cel to był wielki, z dziejów Polski wysnuty, zapewniający jej naprawdę spokój wewnętrzny i bezpieczeństwo od wschodu. Mogła go jednak osiągnąć tylko ogromnym wysiłkiem patrjotycznym i postawieniem wszystkiego na kartę. Do tego jednak ani Narodowa Demokracja, ani socjaliści nie chcieli dopuścić“ (str. 402).

Polska ma obowiązek odżywiać się doktrynanami, w imię których stracić powinna bezpośrednią granicę gospodarczą z Rosją i odgrodzić sie od wschodnich rynków zbytu sztuczną Białorusią i Ukrainą, natomiast innym narodom wolno prowadzić praktyczną politykę.

„Najlepszym przykładem uwzględnienia żądań politycznych było przyznanie państwu czeskiemu powiatów niemieckich i polskich, słowackich, a nawet ruskich, ostatnich w tym celu, ażeby Czechom otworzyć przez Galicję Wschodnią bezpośrednią łączność z Rosją” (str. 398).

Znana jest dążność czeska do posiadania wspólnej granicy z Rosją, do tegoż celu zmierza i polityka niemiecka.

Autor „Dziejów Polski” potępia Narodową Demokrację, gdyż „hasło jej było skrajnie nacjonalistyczne skierowane przeciw Rusinom i żydom” (str. 346). „Polityka taka (niby w myśl wskazań N. D.: siła przed prawem) prowadzona przez naród słaby i podbity wobec mniejszości narodowych, mieszkających wśród niego Rusinów, czy żydów nie mogła się żadną miarą powieść i musiała na naród polski sprowadzić tylko klęski i niesławę” (str. 317).

„Politykę siły przed prawem mógł zresztą prowadzić tylko ten, kto miał siłę, a więc potężne pań-

[1]) Michał Bobrzyński: „Dzieje Polski w zarysie“. Tom III. Dzieje porozbiorowe. Nakład Gebethnera i Wolffa 1931.

[2]) Porównaj Bobrzyńskiego „Wskrzeszenie Państwa Polskiego“. Dwa tomy. Kraków 1920, 1925. Krakowska Spółka Wydawnicza.

stwa Niemcy i Rosja" (str. 317). A jakie dała wyniki łagodna polityka wobec Rusinów i żydów? „Student Siczyński, Ukrainiec... zamordował kilkoma strzałami Potockiego. Najszlachetniejsze jego zamiary uspokojenia zawiści społecznych i narodowych wzięły smutny koniec" (str. 331). „...Wielki strajk rolny, wywołany w r. 1902 przez Ukraińców we wschodniej części kraju... spłoszył szlachtę podolską a stanowiskiem Pinińskiego ostatecznie zachwiał" (str. 326). „Rząd pruski... podniecał Rusinów do oporu przeciw polskim rządom w Galicji i w prasie europejskiej rządy te zohydzał" (str. 347). „Reforma (wyborcza) była raczej zwycięstwem Rusinów, niż ugodą na całej linji" (str. 351). „W Królestwie żydzi, którzy za czasów Wielopolskiego zbliżyli się do społeczeństwa polskiego i zaczęli się z niem asymilować, gdy sprawa polska w powstaniu upadła, poszli w wielkiej części za mocniejszym t. j. za rządem rosyjskim" (str. 319). „Żydzi galicyjscy w czasie wojny światowej podzielili się w swojej orjentacji. Jedni szli nadal z Polakami, drudzy przechylili się ku Ukraińcom i w chwili zajęcia przez nich Lwowa i Wschodniej Galicji jawnie po ich stronie stanęli. Wywołało to oburzenie wśród Polaków, którzy przez cały czas swoich rządów w Galicji trzymali się wobec żydów zasady równoprawnienia" (str. 390). „Słabą stroną rozwoju gospodarczego Galicji był zato handel, skupiony głównie w rękach żydowskich i psujący krajowi często nierzetelnością swoją opinję zagranicą" (str. 288).

Pan Bobrzyński walkę polityczną z b. naczelnikiem państwa uważa za „marną i szkodliwą" (str. 395). Wierzy w dogmat nieomylności p. Piłsudskiego, jednakże na str. 354 pisze: „Do oporu ludności Królestwa przeciw legjonom przyczyniło się też wielce, że na czele pierwszych oddziałów stał Piłsudski i inni przywódcy rewolucji socjalnej w roku 1905, znani w Królestwie i znienawidzeni powszechnie, że, korzystając z cofnięcia się wojsk rosyjskich, próbowali utworzyć w Kielcach rząd socjalistyczny, którego komenda legjonów musiała się wyprzeć i jaknajprędzej go usunąć. Nie cofnęli się nawet przed ofiarowaniem swoich usług wywiadowczych wojsku niemieckiemu". „Brygada pierwsza... szła już oddawna za kierunkiem P.O.W. W tych pułkach tworzyły się rady oficerskie i podoficerskie, odbywały się wiece i pochody z czerwonym sztandarem i pieśnią socjalistyczną" (str. 369).

Wynikałoby z tego, że są pewne sprawy, które, bez niczyjej obrazy, uznawać można conajmniej za sporne.

Dajemy ciągle głos p. Bobrzyńskiemu, aby kreślił swój autoportret. To malowidło robi na mnie wrażenie laki japońskiej, zmieniającej swą barwę zależnie od strony, z której na nią się patrzy; to samo miejsce raz połyskuje złotem, to znów pogrąża się w czarnym mroku.

Nie popsuję, mam nadzieję, tej igraszki światłocieniów, jeżeli jeszcze dodam kilka cytatów, spostrzeżeń i wyjaśnień.

Myli się p. Bobrzyński twierdząc, że odezwa Wielkiego Księcia zrobiła „oślepiające wrażenie" (str. 350). Ponieważ ta odezwa miała pretensje, aby ją uważano za rzecz serjo, obowiązkiem polityki polskiej było ustalanie w Rosji i zagranicą poglądu, że brać trzeba słowa Wielkiego Księcia bez zastrzeżeń. Tym legjonistom, którzy przekradali się przez front do Warszawy, tłumaczyliśmy, że powinni użyć wszelkich wpływów, żeby do licytacji w sprawie zobowiązań wobec Polski stanęły obok Rosji Austrja i Niemcy. Może podobną rozmowę, toczącą się na Chmielnej ulicy zimą 1914 r., pamięta p. Downarowicz. Nasz lojalizm był pozbawiony sentymentu, nie potrzebowaliśmy się przywiązywać do metody i do sposobu działania i zawsze gotowiśmy byli cisnąć środki, gdy tego wymagała idea i cel, którym służyliśmy. Trzeba często cytować słowa woźnicy z rodziny Połanieckich, przyglądającego się pojedynkowi Maszki z Gątowskim na Bielanach: „niech się świat poleruje, niech się kpy biją". Kpy się biły, a Polska się robiła. Lojalizm austrjacki utrudniał wielu ludziom swobodę poczynań w zakresie polityki narodowej.

Winę niepowodzenia wyprawy kijowskiej autor „Dziejów" zwala na Narodową Demokrację, ponieważ krytykowała ona lekkomyślną kampanję (str. 404). Jak widzimy, umie być p. Bobrzyński nie poważnym. Zdarza mu się to dosyć często. „Nacjonalizm polski, wzorowany wprost na niemieckim i rosyjskim, przyniesiony przez Narodową Demokrację z Berlina i Petersburga... liczna rzesza urzędników Polaków w Galicji... widziała w nim swego obrońcę" (str. 326). Biedna Galicja skażona została takim niemoralnym importem. Właśnie Galicja, którą Wiedeń obsypywał darami cnoty józefińskiej, obdarzał Szelą i której słał uściski szerzącej śmierć nędzy.

O Stapińskim dowiadujemy się, że „osiągnąwszy wielkie zwycięstwo przy wyborach, osądził, że na drodze pozytywnej pracy większe dla ludu wiejskiego osiągnie korzyści, a stanowisko swoje wzmocni" (str. 328). To, co nazywano machinacjami c. k. namiestnictwa, dziś się nazywa „pozytywną pracą".

Z wywodów p. Bobrzyńskiego należy wnioskować, że rząd austrjacki, czy też krajowy, były to rządy zasad, nie wchodziły w karygodne kompromisy z Rusinami, żydami, Niemcami, za to Tadeusz Cieński wpłynął, że „Komitet wyborczy polski nie zawahał się też zawrzeć sojusz wyborczy z moskalofilami, występującymi pod płaszczem Starorusinów i dla chwilowego sukcesu poświęcić zasadniczy polityki polskiej kierunek" (st. 331).

Nie zawsze p. Bobrzyński trafnie wskazuje na przyczyny rozmaitych zdarzeń. „Upadli w dążeniu do władzy ci, co w czasie wojny nie umieli się zdobyć na nic więcej, jak na bierność i negację i hasłem tem uśpili cały swój liczny obóz" (str. 385). Doprawdy? A skąd się wzięła Polska niepodległa? Czy ją wyaktywował aktywistyczny N. K. N., czy ją wyprosił w Berlinie komiwojażer galicyjskiej polityki Wilhelm Feldman, czy też właśnie ci rzekomo bierni z Komitetu paryskiego i ci temu komitetowi podkomendni, co nie dali rekruta państwom centralnym? Rozwiązywanie przyczyn słusznie stwierdzonego faktu, iż upadł w dążeniu do władzy obóz narodowy, jest zagadnieniem pierwszorzędnej miary, bardzo skomplikowanem i bardzo ciekawem. Jeżeli p. Bobrzyński jako historyk tak powierzchownie sądzi zdarzenia dziejowe, to budzi wątpliwości co do głębszej wartości swoich prac nad historją Polski.

Dużo w książce Bobrzyńskiego jest niedomówień, opuszczeń i błędów; niema np. wzmianki o tem, że zamiast wojska miała być tworzona milicja, że granica Polski miała być na Bugu i wiele innych pierwszorzędnych faktów pominięto. Lecz wielka pora zamknąć ten rozrachunek z poglądami p. Bobrzyńskiego. Na zakończenie dwie uwagi.

Pan Bobrzyński przed laty wyraził obawę, że wspomnienie Wielocha z pod Wielkich Łuk

i Głowackiego z pod Racławic nie wystarczy chłopu i że „fakt poddaństwa napełni go do dziejów głęboką niechęcią“, tymczasem dziś na dobro p. Bobrzyńskiego zapisujemy takie zdanie: „Długa usilna praca nad oświatą ludową wydała już swoje owoce, budząc świadomość narodową i patrjotyzm polski w warstwie ludowej“ (str. 349). Dobrze, że autor „Karty z dziejów ludu wiejskiego w Polsce“ po długiem życiu uwierzył w wartość narodową szerokich mas ludowych.

Za to z dobremi obyczajami jak było tak i jest źle. Pisze p. Bobrzyński: „Brukowy warszawski patrjotyzm odgrywał w tem wielką rolę, a wyrazem jego był przedewszystkiem Dmowski“ (str. 344).

Ależ, Ekscelencjo, przy jakiej takiej kulturze politycznej nie pisze się tak o człowieku, który w pierwszym rzędzie przyczynił się do stworzenia Polski niepodległej.

ANTONI MARYLSKI

GWIAZDA LITERACKA: NORWID

LITERATURA, dotycząca życia i twórczości Cyprjana Norwida, jest dziś bogata, niemożna jednak utrzymywać, że zadanie swoje już wykonała. Powiem nawet, że nadmiar w ostatnich czasach nawoływań do studjów nad Norwidem, jako niedocenionem odkryciem dwudziestego wieku, onieśmiela krytyków, nie lubiących przymusu. Przyszedł jednak istotnie na Norwida czas: w historji literatury spłynęła fala romantyzmu i dobywają się na porządek dzienny pisarze środka XIX wieku.

Norwid nie należy do autorów tak łatwo przypadających do serca, jak poeci romantyczni. Szerokie rozwarcie uczuciowe dawało do tamtych dostęp bezpośredni i spoufalało; Norwid jest niedostępny, nie dla każdego po drodze, niby zameczek na skale. Trzeba obmyślić trochę odmienną metodę podchodzenia, jakiś klucz znaleźć do jego duszy nie tak uniwersalny, jak do innych pieśniarzy późniejszego romantyzmu.

Co do mnie, przejrzawszy pisma Norwida, odniosłem wrażenie, że nie można objąć go wzrokiem w całości z jednego punktu. Twórczość jego rozciągnięta była na duże przestrzenie czasu w tak odmiennych okresach, że należy badania prowadzić partjami, dążąc do syntezy końcowej. Ale przedewszystkiem trzeba się wczytać w jego utwory młodzieńcze.

Na początek przeczytajmy pierwsze utwory Norwida, pisane w Warszawie 1840 — 1842 r. Ten krótki okres więcej nam o nim powie, niż później całe dziesięciolecia. Potem możemy uzupełnić swoje spostrzeżenia rysami osobistemi z traktowania biograficznego. Teksty znajdziemy w pierwszym tomie „Pism zebranych“ w wydaniu Z. Przesmyckiego. Łatwo je tam odnaleźć, nie będę więc powoływał się w cytatach na miejsce, skąd pochodzą.

1

Zacznijmy od „Dumań“. Są to dwa, jak się zdaje, urywki większej całości. Ogłoszone osobno (1840 i 1841) dają się traktować łącznie.

Pierwszym rysem charakterystycznym, narzucającym się z tych utworów, jest f i l o z o f i c z n o ś ć. Znane nam są młodzieńcze u romantyków medytacje nad urojonemi cierpieniami, zwłaszcza gdy byli pod wpływem Tassa, Younga, albo cierpień młodego Wertera. Ale Norwid duma nie nad swemi uczuciami, jego cierpieniami są zagadnienia raczej filozoficzno-poznawcze. I to jest od początku główne znamię Norwida: troska o m y ś l. W „Dumaniu“ przystraja w symbole plastyczne troskę, którą budzi w nim świeżo widocznie nabyta, więc nie przyswojona należycie, niepokojąca idea, że jedność świata jest tylko pozorna. W rzeczywistości człowiek jest strukturą, wzniesioną „na miedzy dwóch niezgodnych światów“ i „tajnym przybity cierniem, kłamie spokój duszy“.

Świat, dostępny zmysłom, zamyka człowieka jak w trumnie. „Biedny, ach biedny człowiek, cóż pocznie“? Dążyć ma do wyzwolenia duszy — przez mogiłę do nieba. Tam każdy, „hieroglif cierpienia“ na człowieku znaczony, „na ziemi niepojęty“, będzie zrozumiany w niebie. „Dalej więc, przyjaciele, dalej do mogiły z pieśnią wzniosłą, co z serca sama się wylewa“, z pieśnią Miłości, Wiary i Nadziei.

Człowiek natchnienia, świadomy istnienia tych dwu światów czasem „zapomina, że go serce boli“ i uśmiecha się, patrząc na grono ludzi roześmianych, nie zdających sobie sprawy, jaka jest prawda. „Łagodnie się uśmiecha, jakby go palono za p r a w d ę“. Człowiek światowy musi „d w o i s t e wycierpieć zgryzoty, d w o i s t e siły czucia podruzgotać kołem, na d w a p a l e wbić serca“... Bo jakże pozorne jest szczęście na ziemi!

Od rozpaczy chroni refleksja: „Żywot ludzki, choć na pozór ginie, jednakże treścią bytu wybitnego człeka w żyły o g ó l n e j m y ś l i przelewa się, płynie, kroplę po kropli sączy“.

Człowiek tak jest sporządzony, jak instrument muzyczny na użytek obojga światów: na tej samej strunie brzmieć musi i głupstwo i mądrość. Ale jest w „treści bytu wybitnego człeka“ coś, co z siebie kroplę choćby sączy w wieczność. Z tej siły wytwarzać trzeba czyn, „słowo w czyn zamienić“. Nie „płonąca chorągiew“, bo nic nie trzeba niszczyć, i „wściekły obraz“ symbolicznej sztuki słowa ku zdobyciu „wawrzynu“, który „łechce skronie“, lecz czyn tak realny, jak oszczep w walce, lub religijny z palmą w ręku, — może wyzwolić z więzów doczesności.

Ten dualizm w duszy Norwida nie ma na sobie znamion widzenia religijnego dwu światów; on tylko zasila się symbolicznemi wyobrażeniami religijnemi ziemi i nieba, to znaczy chwały doczesnej i chwały wiekuistej. W podstawie tego schematu leży ówczesna koncepcja filozofji idealistycznej, znana mu pewno z popularnych wykładów. Jaźń ludzka (myśl) pozostaje w ucisku od kosmosu. To odkrycie uderzyło wyobraźnię młodego poety i odtąd patrzy na świat buntowniczo. Wziąły udział w tym zatargu (z genezy swojej czysto poznawczym) uczucia, więc młodzieniec cierpi. Od pesymizmu w stosunku do świata realnego ratuje się optymizmem idealistycznym, metafizycznym.

Świat, który normalnie poetów raduje, staje się u Norwida jakąś klęską. „Dumanie“ zaczyna się od słów:

Dzikie smutki, jak kolcem najeżone głogi,
Obrosły tego życia jałowe odłogi.
Chmury niebo zakryły...

A dalej:

Człowiek żali się, jęczy, czasami przeklina,
Czasami znów natchniony załamuje dłonie,
Patrzy, szuka czy jest gdzie w niebiosach szczelina,
Przez którą można spojrzeć, lecz oko zepchnięte
Spada i w łzach rozpaczy zanurza się, tonie.
Człowieka łamią bóle, serce kamienieje,
A niebo tak, jak dawniej — milczące, zamknięte,
Ani płacze, ani się śmieje.

Są więc dwa światy: niebo i ziemia.Jaźń (myśl) należy do tamtego metafizycznego. Tymczasem jest w niewoli u tego fizycznego. I czy niema ratunku dla człowieka? „Nigdy go boleść nie ominie?".

N i g d y? To być nie może, żeby n i g d y było
Na tym znikomym, ziemią nazwanym kurhanie;
N i g d y musi być wieczną utwierdzone siłą..
N i g d y niema na ziemi...

Trzeba przyznać, że młodzieniec ujął rzecz bardzo ładnie pod względem poetyckim. Dalej przenośnia z piaskiem trochę nieudatna: ale dobrze myśl Norwida wykłada. Bo pyta się: więc skoro boleść ma kres, to czemże człowiek ją usunie, aby się pocieszyć?

...ha! więc garścią piasku
Można otrzeć łzy gorzkie!

To znaczyć ma, że Norwid nie widzi możliwości zdobycia szczęścia prawdy w drodze poznania przedmiotowego rzeczywistości. „Garścią piasku" łez się nie otrze. Poznanie osiągnąć można tam w „niebie" przez zagłębienie się w jaźń metafizyczną, przez zlanie swej myśli „kropla po kropli" z jaźnią bezwzględną („myślą ogólną").

W jakiż sposób? „Niedługa droga" — odpowiada Norwid. „Dalej przyjaciele!" — zachęca mową „Ody do młodości". Trzeba tylko „bez skazy", to znaczy salwując czystą ideę, przejść życie (a ono takie krótkie!). Nie szukać „doczesnego blasku, który plami człowieka". Rany cielesne „nie plamią sumienia", nie są „skazą duszy". To są tylko „hieroglify" cierpienia duchowego. Taki hieroglif dopiero tam będzie zrozumiany „i Boga samego wzruszy". Taki wysiłek czystości, który z duszy dobywa „pieśń Miłości, Wiary i Nadziei", jest C z y n e m. Idea czynu jest wnioskiem obu fragmentów „Dumania" Norwidowego.

Jest to utwór w znacznym stopniu dydaktyczny. Musiał być w pomyśle zakrojony na większą skalę, jako wykład systemu filozoficznego; zostały tylko te dwa urywki; na całość zabrakło sił. Skąd się wzięły młodemu Norwidowi te pomysły i nastroje?

Pewno z powietrza filozoficznego owych czasów. Z analizy świetlnej tego zjawiska literackiego można wyciągnąć parę wskazówek.

2

Dualizm, przeciwstawiający Myśl rzeczywistości, doznawanej i wyobrażanej, określa to zjawisko, jako po-kantowskie. Nie pochodzi jednak wprost od Kanta, bo ten zatrzymał umysły na terenie teorji czystego poznawania. U Norwida jest coś więcej, niż epistemologja; nie jest to jednak jeszcze spekulacja czysto idealistyczna Hegla. Wydzwaniany w haśle poetyckiem Norwida woluntaryzm naprowadza nas na Fichtego.

W jaki sposób Norwid mógł się poznać z ideami Fichtego, na to może odpowie badanie biograficzne. Tutaj wystarczy, aby zestawić dla porównania z widzeniami Norwida schemat systemu niemieckiego filozofa.

Fichte utrzymuje dualizm Kanta, oddzielający przepaścią podmiot od przedmiotu. Umysłowi nie są dostępne rzeczy same w sobie, jako rzeczywistość; ma on do czynienia tylko z ich przedstawieniami, swojemi o nich wyobrażeniami. Wszystko w świecie ma swoją przyczynę, jedna tylko myśl jest człowiekowi dana *a priori*, jest niezależna od przyczyny, w o l n a. To stanowi podstawę podziału świata—na myśl i na resztę. Fichte przyjąwszy założenie ogólne Kanta co do rozumu czystego, zbudował swój system na kantowskiej krytyce „rozumu praktycznego". Teorja jego odpowiada na pytanie, co człowiek ma czynić, żeby się stać wolnym, to znaczy być tą jaźnią niezależną, zbliżającą się do powszechnej jaźni bezwzględnej.

Według Fichtego jaźń (moje Ja) przeciwstawia się nie-jaźni (nie Ja). Akt świadomości: „jestem" ustanawia istnienie jaźni, powołuje ją do życia. Jest to pierwszy c z y n jaźni (dokonany względem siebie). Odtąd wszystko jest czynem jaźni, zagarniającej obszary świata przez poznanie. Byt wogóle jest wynikiem tego czynu jaźni. Sam proces wyobrażania jest pełnieniem obowiązku. Dar myśli dostał się człowiekowi na to, aby był wolny. Człowiek stworzony jest do czynu. Czysty rozum wywołuje przedmioty na to, aby rozum praktyczny miał opór. Istnienie świata jest warunkiem czynu. Świat jest na to, aby był czyn. Granicę między światem wyobrażanym a sobą jaźń ma zadanie przezwyciężyć. Rzeczy są jej dane w tej mierze, w jakiej ma obowiązek z nich coś uczynić, aby im dać znamię wieczności.

Owa aktywność jaźni może być schematem dla etyki, i stawała się etyczną zwłaszcza w umysłach polskich, ale dla protestanta Fichtego była bez barwy i treści etycznej; nie rozróżniała sprawy dobra i zła. Była to aktywność czysta, przeciwstawiona bierności „nie-jaźni". Czyn dla czynu. Wszelki czyn jest lepszy od bierności.

Czynem według Fichtego jest nadawanie formy materji, zmiana lub obrobienie jakiegokolwiek przedmiotu. Ta idea będzie przyświecać Norwidowi całe życie w poglądach na sztukę i jej zadania. Ale w szerszem znaczeniu w systemie Fichtego czynem jest wogóle przezwyciężanie przeszkody i wszelkiej trudności. Bez oporu niema czynu. Jaźń ma zadanie przezwyciężać to, co jest nie — jaźnią, aby się od niej wyzwalać i kłaść na rzeczach piętno wolności, wiodącej do zlania z jaźnią bezwzględną. Postęp dziejowy polega na stopniowej realizacji wolności.

Metafizyka czynu, jak sądzić można z rozpatrzonego utworu — utkwiła głęboko w duszy Norwida.

Wszystkie elementy tego systemu znajdujemy w jego „Dumaniach". Do najtrudniejszych motywów dla poety należy w tym systemie idea konieczności współbytowania i współpracy z rzeczywistością, bez niej bowiem myśl czysta staje się bezprzedmiotową. Umysł jest prototypem budowy świata i twórcą jego. Trzeba więc współżyć, choć z ciężkiem sercem, gdyż nie tu jest wolność.

Trudno — bo żywot ludzki, choć napozór ginie,
Jednakże treścią bytu najlichszego człeka
W żyły o g ó l n e j m y ś l i przelewa się, płynie,
Kroplę po kropli sączy — kroplą w kroplę wcieka.
I każde głupstwo d z i a ł a, każda mądrość d z i a ł a,
Jakby na jednej strunie odegrane pieśni,
Trzymają się za ręce, nie różni ich chwała, —
Pierwsza wolna od blasków, a drugie od pleśni.

3

Ten pogląd dualistyczny, przenoszący wagę ze sfery zjawisk przedmiotowych na podmiotową rolę jaźni, zadecydował o postawie twórczej Norwida na całe życie. Czy to możliwe, żeby „pogląd" odgrywał w życiu poety tak wielką rolę? Poezja nie rodzi się przecież z poglądów, lecz ze wzruszeń; ale z poglądów może wziąć początek o tyle, o ile te wywołają w szczególnych warunkach silne wrażenie. Nie pogląd bezpośrednio wytwarza t. zw. nastawienie psychiczne, lecz jego ekwiwalent uczuciowy. Postępowanie biograficzne wyjaśni pewno, jakie okoliczności towarzyszyły temu zjawisku, zgóry wszakże można przypuszczać, że na młody umysł Norwida, jak widać wrażliwy na idee i odgrywający w jego psychice rolę przemożną, spóźniona, długo tamowana fala kantyzmu, mogła wywrzeć wpływ silny. Był to przecież przewrót w pojęciach, dotyczący bezpośrednio człowieka. Mniejsze wrażenie na umysły (przynajmniej w poezji) zrobił w swoim czasie Kopernik, niż teraz Kant. Fichte, jeśli wierzyć jego biografom, przeżywał tę sensację filozoficzną uczuciowo; odczuł ją jako wielkie szczęście, które go spotkało i nanowo narodziło.

Filozofja szła wtedy o lepsze z poezją, terenem współdziałania ich była wyobraźnia. Jeśli nadto przypuścimy, że nasienie to padło na grunt uwrażliwiony przez modę filozofania, że idee filozoficzne kultywowały się w atmosferze towarzyskiej wymiany myśli, zagrzewanej dyskusją aż do zacietrzewienia, prawdopodobieństwo afektu filozoficznego będzie duże.

Bądź co bądź faktem, od początku charakteryzującym Norwida, jest rozszczepienie dualistyczne. Widoczne jest dalej, że przyznanie całej wagi twórczej podmiotowi i dedukcji ideowej automatycznie obniżało w jego oczach wartość życia realnego, a jako artyście odbierało radość napawania się zjawiskami. Twórczość, pojęta w tym duchu, jako działanie myśli, wolne od wpływu bodźców świata zewnętrznego (bo tylko wtedy będzie czynem), oparta na założeniu, że winna odrywać od świata, jako zaprzeczenie potoczności i popularności, — twórczość taka skazywała się na drogę ciernistą. Bo sztuka — to przedewszystkiem zażyłość zmysłów ze zjawiskami, to szukanie wśród nich wolnych przejawów symboliczności życia, to niekrępowane zawierzanie się swej psychice. Artysta, odnoszący się sceptycznie do wiarogodności swoich doznań zmysłowych, wpada w zatarg z sobą samym i poprzestać musi na interpetowaniu zjawisk, jako „hieroglifów" czy stygnatów tej prawdy, do której doszedł inną drogą, nie drogą poznania estetycznego. Musi się stać poetą, rozdwojonym na artystę i filozofa.

Wnosić można, że w życiu duchowem Norwida naładowanie filozoficzne nastąpiło wcześniej, zanim zdołał się sformować w swojej psychice artystycznej. Poczucie artystyczne miał wskroś realistyczne, wyrobione przez naukę rysunku i malarstwa i ono było jego siłą w twórczości poetyckiej, ale siłą, którą zatrzymał na poziomie środka ekspresyjno-ilustracyjnego; poezję przeniósł w dziedzinę filozofji i traktować ją musiał nieraz przeciwstawnie do siebie, jako artysty. Polscy filozofowie i poeci byli bardziej harmonijni, nawet schematowi spekulacyj niemieckich potrafili nadawać ciało i barwę życia. Szkielety ideowe systemów pokrywali żywiołem poetyckim, etycznym, patrjotycznym i religijnym. W utworach warszawskich Norwida nie widać, żeby poddawał się głębszemu życiu uczuciowemu. Dopatrywanie się w nich tendencji politycznej lub religijnej nie ma dostatecznej podstawy.

Najpiękniejsze utwory z tych czasów Norwid zawdzięcza chwilom zaufania do przyrody, ludu i wsi. Ale te chwile bezpośredniego entuzjazmu poetyckiego dla piękna naturalnego przyrody i ludzi będą coraz rzadsze i pełne zastrzeżeń. Te chwile dają miarę, jak pięknie rozwinąłby się talent poetycki Norwida, gdyby zachował prosty do świata stosunek. Poemat np. „Do wieśniaczki" jest mistrzowski, łączy bowiem realne widzenie rzeczy z miłością przedmiotu, jako symbolu ukochanej od dzieciństwa przyrody. Największemi wartościami tych młodzieńczych poezyj są klejnoty przeżyć z przyrodą i ludem, barwa ich etnograficzna i „bytowa", to wszystko właśnie, czem gardził, co odpychał jako zjawy bytu, który tylko jest narzędziem dla celów wyższych, bardziej poetyckich.

Czytając te utwory, doznajemy wrażenia jakiegoś dramatu, jakby się kończyło to, co w mniemaniu poety ma się zaczynać, jakby właśnie odchodził z krainy poezji tam, gdzie niema już farb do obrazu. Wszystkie te wiersze brzmią, jak pożegnanie na progu życia. A kto poetę i gdzie będzie witał, gdy odejdzie od tego domu swego?

W poemacie „Wspomnienie wioski" (1840) wygłasza pochwałę wsi w sposób tchnący prawdą, bo naturalne przywiązanie łączy się tu szczęśliwie z poglądem filozoficznym na życie natury, jako najbliższe tajemnic myśli Bożej. „Wieś — to podarek Boży, to kwiat, co spada z anielskiego czoła". Wieś

> Leży jak flet, co w sobie liczne pieśni tłumi,
> Lecz weź-no ten flet do ust, pocałuj go szczerze,
> A dopiero usłyszysz, co on śpiewać umie.
> A dopiero on pieśni dla ciebie wybierze;
> I będzie ciebie błagał, będzie ciebie prosił,
> Ażebyś go przy ustach pałających nosił.

„Myśl" poety zalatuje na chwilę do wsi i pod płotem staje jak żebrak. Nikt jej tam nie czekał, tylko pies wierny zaszczekał, by poetę powitać.

A ten poeta przecież rzekomo znalazł drogę i powinien być szczęśliwy, jednak czegoś żałuje. Taki wiersz „Marzenie" (1840) z punktu widzenia psychologicznego daje obraz duszy jeszcze niezorganizowanej, którą przetrącono przez pół. Jedna połowa obumiera. Wywiązuje się dyskurs wewnętrzny między marzeniem (uczuciem) i ową „myślą". Poeta doznaje wrażenia, że „czarowna dziewica", z którą obcuje, nagle ucicha i zmienia się w kościotrup.

> Dziwne uczucia — dawniej ja marzyłem,
> Wszystko kochałem, we wszystko wierzyłem,
> Szczęśliwy byłem...

A teraz w smutku, „jakby miłość z marzeniem umarła przed chwilką", walczy w sobie, jak walczył Jakób z szatanem, czy wskrzeszać ten stan dawny, czy też iść dalej. I decyduje:

> ...Nie chcę, nie chcę marzeń wcale,
> Bo musi być coś więcej dla człowieka w świecie
> Nad te liche zabawki, których pragnie dziecię.

„Wyrwę" — dodaje — „pogniotę pierworodne trawki". I tak „rozpiętemu na pręgierzu życia" jawi się Rusałka—marzenie, która wśród tego nokturnu nuci w rytmie mazurka Chopina piosnkę słynną:

> Gdy po deszczu, po majowym
> Wstęga tęczy cicha spłynie...

Próżno go kusi Rusałka ponętami życia:

Precz, córko pieszczot i gnuśności!
Ja nie chcę mdłych rozkoszy. Sam z sobą zostanę
I będę badał, śledził — przeczucie nieznane
Które wrosło w me serce: przeczucie wielkości!

Odpędziwszy pokusy wszystkiego, co jest „niejaźnią“, poczuł się wolny, i mniemając, że spełnia wezwanie Mickiewicza, wznosi pieśń:

Młodości, ty nad poziomy wylatuj!

Z okrzykiem tym szedł na manowce, bo w miarę jak się oddalał od źródeł życia, mniemając się być panem ducha, skoro ten jest tylko myślą, której wszystko służy, tracił orjentację artystyczną. Prawa „myśli“ wywodził konsekwentnie, zapominając, że doktryna filozoficzna dawała równouprawnienie zmysłom w zakresie dostarczania środków, któremi myśl się wyraża, rozszerzając swoje panowanie.

4

Idąc widocznie za skłonnością swej natury, gardził nie tylko „wawrzynem“, co nie wyglądało na szczerość, ale wszystkiem, co stanowi istotę sztuki. Tracił zaufanie do „słowa“, bo w niem widział środek użytkowy ziemski. Miał w wyobraźni żywe jakieś wyczucie czystej myśli, która według doktryny jedynie jest twórcza, z której wszystko się wywodzi, myśli bezpostaciowej, a więc działającej w ciszy i milczeniu. Mówiło mu coś, że myśl dana człowiekowi wzmaga swą twórczość, gdy łączy się z tą myślą powszechną. Ale rozumiał, że dla artysty zaprzeć się formy — to zaprzeć się swego powołania. Myśli wrogiem jest nie tylko słowo, ale nawet dźwięk. W poemacie „Do ***“ znajdujemy dowód tej walki:

Myśl z dźwiękiem butne harce wiedzie bez ustanku,
A snadź inaczej pieśni wcaleby nie było!
Więc plączą się widziadła...

To samo ze Słowem. „Myśl człeka zrazu wiele ma krasy, lecz gdy się rozsypie w garść spaczonych wyrazów, które znów poszczypie pióro zatrutem żądłem i tak porozwleka po bladych stepach księgi, — cóż z tej pastwy gadu zostanie powabnego?” („Do ***“).

Widzimy więc artystę zaplątanego w sprzeczności, w dążeniu do wolności nakładającego sobie kajdany. Artystą jest człowiek twórczy, który szuka środków dla wyrażenia swej myśli artystycznej i wierzy, że te środki myśl jego spotęgują; Norwid w zaraniu twórczości o nich wątpi. Według niego „myśl upada na siłach... kiedy ją w sukienki czarnych głosek obleką”:

Gdybym zrzucił ciało
I z kości się wyłamał, gdyby pozostało
Ścierwo w błocie, a dusza miała jeszcze oczy
Dla świata — tobym może jaki hymn proroczy
Wielkim głosem zanucił, ale gdy tak słaby
I tak maluczki jestem — skądże wezmę siłę
Ku temu? Bo choć myśli, jak najemne draby,
Klną dziko i wołają, by im zapłaciły
Słowa moje.. Lecz słowa — blaszki pozłacane
Mdłym dźwiękiem gadające, grosze połamane,
Fałszywe... (Tamże)

W poemacie „Wieczór w pustkach“ (1840) chwali ciszę, jej „niemy śpiew“ i uważa, że „nieraz stokroć lepiej prowadzić rozmowę z ciszą, niżeli z człekiem“. Jest to jeden z najpiękniejszych utworów młodego poety. Cisza — wspaniały temat dla muzyka i poety, ale właśnie dla pokazania piękna ciszy, potrzebny i dźwięk i słowo.

Przed samym poetą stanęło to pytanie, szukające odpowiedzi, jaki ma być stosunek jego osobisty do sztuki. Miał taką „Chwilę myśli“ (1841). Niby Faust wśród ksiąg i papierów waży się myślami nad zagadnieniami, które się stają dramatem słowa i pióra.

Bogdaj to było z młodem sercem zgodnie
Po kwiatach życia lekką stąpać nogą!
I nie rozpaczać...

Dusza jego „przypadkiem na świat zabłąkana“ zostaje w niewoli „zimnego słowa“, a pióro jest jak rydel grabarza, który grzebie w mózgu.

Błogosławieni, którym gardła dźwięki
Mogą wystarczyć, którym dosyć ręki,
Ażeby pisać...

On jest inny. On, stawiając głoski, w ich ciźbie dąży za „pogrzebem myśli“. Jeżeli tak, to sam siebie pyta: „I któż cię prosi, żebyś pisał?” Czyżby to był tylko „nałóg“? W tym istotnie tragicznym dla artysty momencie jawi się mu życie ze swoją prostą prawdą w postaci stróża i jego głodnych dzieci. Uczuwa wtedy, że jest ni „dla dla siebie, ni dla ludzi”. Bóg wie poco żyje. Pisanie uważa już za swe powołanie, to znaczy tylko piórem trzyma się życia. Pióro więc jest orężem jego czynu, na obie strony: i dla myśli, która wiedzie do nieba, i dla mamony, która potrzebna jest na ziemi.

Pisać więc, pisać i frymarczyć mową,
Myśli jak bydło sprzedać całem stadem...
...Chwila to przeklęta,
Co takie myśli błotem pokalane
Kładzie na oczy: by zapomnieć nieba
Dla worka groszy!

Wydawcy warszawscy pewno mile byli połechtani w swej dumie kupieckiej, widząc na wadze przeznaczeń poety po jednej stronie niebo, po drugiej równoważny „worek groszy”, ich worek.

Pióro literackie (a było to wtedy gęsie pióro z zastruganym i rozszczepionym na paznogciu końcem, a z białym żaglem puchu u góry) w oczach zawodowego literata urastało do znaczenia symbolu, skupiającego wszystkie zagadnienia metafizyki zarówno idealistycznej, jak i kosmologicznej, metafizyki jaźni i materji, metafizyki czynu i bierności (upadku). Więc w poemacie „Pióro” (1842, ostatnim utworze warszawskim), który zjednał Norwidowi znaczny rozgłos, mamy apoteozę pióra. Zaczyna podobnie, jak wiersz Słowackiego „Na sprowadzenie prochów”:

I wlano w ciebie duszę nie anielską, czarną,
Choć białym włosem strzępisz wybujałą szyję...

Następuje opis, zawsze w przenośniach, czynności pióra na papierze. To jego czynność ziemska (materjalna), mechaniczna, druga zaś połowa utworu poświęcona jest czynowi pióra niebiańskiemu:

O pióro! Tyś mi żaglem anielskiego skrzydła
I czarodziejską zdrojów Mojżeszowych laską!

Poeta zaklina je, aby nie było „papugą uczuć, ani marzeń kraską”:

Do żadnej czapki klamrą nie przykuj się złotą,
Albowiem masz być piórem nie przesiąkłem wodą
Przez bezustanne wieków i nawałnic wpływy,
Lecz piórem, którem ospę z krwią mieszają młodą,
Albo za wartkie strzałom przytwierdzają grzywy.

Były ty śluby z piórem na całe życie zawarte, z piórem, które w czarodziejski sposób łączyć będzie dwa światy: ziemię i niebo, przedmioty dostępne zmysłom (i malarzowi) i podmiot, którym jest myśl, dziedzina poety, przedmioty będące tylko hieroglifami tej myśli.

(Dok. nast.) ZYGMUNT WASILEWSKI

NA WIDOWNI

Przedwczesne uogólnienia i wnioski. — Przed wojną światową i dziś. — Koniec powierzchownego upodobnienia. — Jedność i wielość.

PRZEWRÓT i wprowadzenie ustroju republikańskiego w Hiszpanji szeregowi publicystów — zarówno w Polsce jak i w innych krajach — dały sposobność do wypowiedzenia poglądu, że rozwój stosunków politycznych w Europie dzisiejszej zmierza do utrwalenia demokracji, usunięcia systemu rządów nieodpowiedzialnych, nie opartych o zaufanie przedstawicielstwa narodowego, jednostkowych. Równocześnie prawie, rozporządzenie prezydenta Hindenburga z dnia 28 marca r. b., zawieszające wiele swobód konstytucyjnych i udzielające gabinetowi kanclerza Brueninga daleko sięgających pełnomocnictw, przez znaczny odłam publicystyki potraktowane zostało jako faktyczne zastąpienie dotychczasowych rządów parlamentarnych w Niemczech przez jakgdyby rodzaj dyktatury. W podobny sposób określa się też powołanie do władzy prof. Jorgi przez króla Karola rumuńskiego. Czytelnik gazet, zestawiający podobne opinje, odczuwać musi niemałe zakłopotanie: w jakiż sposób ewolucja historyczna Europy współczesnej może zdążać w dwóch przeciwnych kierunkach jednocześnie?

Trudno nawet wyliczyć te wszystkie „zwroty" i „przełomy", jakie w ciągu minionego lat dziesiątka sygnalizowała przy najroznaitszych okazjach prasa europejska. Faszyzm we Włoszech, monarchizm na Węgrzech, wzrost wpływów Hitlera w Niemczech — „w Europie dokonywa się zwrot na prawo", zapowiadały z powagą dzienniki, wyciągając natychmiast zgodne ze swym kierunkiem politycznym aktualne wnioski i wskazania. Rząd Mac Donalda w Anglji, zwycięstwo „kartelu lewicy" we Francji, upadek Pangalosa w Grecji — „widoczny jest powszechny zwrot na lewo", ogłaszali skwapliwie inni, z powagą znawców praw socjologicznych, rządzących losami narodów. Życie polityczne Europy przyzwyczajono się widzieć i ujmować w uproszczonych formułach: „w lewo zwrot! w prawo zwrot!", jak ćwiczenia rekrutów na placu w kasarni.

W rzeczywistości, zdaje się, zagadnienie bynajmniej nie przedstawia się w sposób tak nieskomplikowany. Na przemiany, odbywające się w przeciągu lat ostatnich wewnątrz poszczególnych państw europejskich, należałoby bodaj spoglądać z odmiennego zupełnie stanowiska.

W drugiej połowie wieku XIX oraz w pierwszych latach wieku XX poglądy na kwestje ustroju państwowego i zasad, na których powinien być oparty, były wśród kulturalnych, oświeconych warstw w Europie naogół dość jednolite. Ideje demokracji, parlamentaryzmu, „praw człowieka i obywatela" dawały — przeciętnemu inteligentowi przynajmniej — niezawodną podstawę do klasyfikowania i oceny poszczególnych państw i ich konstytucyj jako bardziej „zacofanych" lub „postępowych". T. zw. „zdrowy", „umiarkowany" konserwatyzm nie podawał właściwie w wątpliwość podstawowych zasad „postępu", spierał się raczej tylko o tempo wprowadzania ich w życie, zapytywał, czy dany naród „dojrzał" już do korzystania z dobrodziejstw radykalnych reform i czy „przedwczesne" obdarzanie go niemi nie przyniosłoby w ostatecznym wyniku więcej szkód aniżeli korzyści. Kierunki, zasadniczo przeciwstawiające się panującym prądom, były z reguły słabe i ani na bieg zdarzeń politycznych, ani na kształtowanie się ideologji swoich współczesnych nie zdołały wywrzeć znaczniejszego wpływu.

Faktycznie też ustroje państw europejskich w tym okresie coraz bardziej upodobniały się wzajemnie do siebie, urzeczywistniając zarazem coraz pełniej hasła liberalizmu i demokracji: rozszerzano stale krąg uprawnionych do udziału w wyborach, obalano ostatnie pozostałości tradycyjnych instytucyj, które mogłyby stanowić tamę w stosunku do wypowiedzianej w powszechnem głosowaniu woli ludności. Podobieństwa owego nie usuwał nawet podział na monarchje i rzeczypospolite, skoro — według znakomitego określenia H. G. Wells'a — np. korona angielska posiadła zdolność wynurzenia się z pod zalewu fali dziejowej „może troszkę podobniejsza do kapelusza i troszkę mniej podobna do korony" [1]). Po r. 1905 nawet Rosja wkroczyła, z pewnem wahaniem, na drogę reform konstytucyjnych, kiedy zaś w r. 1918 zwaliły się trony Hohenzollernów i Habsburgów, kiedy zwycięstwo w wojnie przypadło w udziale „wielkim demokracjom Zachodu", a w Europie środkowej powstawały lub odbudowywały się skrajnie demokratyczne respubliki, wydawało się, że cała „nowa Europa" organizuje się według jednej myśli i na jednolitych podstawach ustrojowych, a te na wspólnej ideologji oparte i jednakowo rządzone i urządzone państwa współpracować mają harmonijnie w stanowiącej wykwit tejże idei — Lidze Narodów. Wrażenia tej jednorodności nie zakłócał nawet zbytnio bolszewizm rosyjski, powszechnie wówczas jeszcze uważany za paroksyzm przejściowy, po którym nastąpić miała „trzecia Rosja", liberalna, demokratyczna, zeuropeizowana...

Stało się inaczej. Wojna światowa wydobyła na jaw tak głębokie, tak potężne a tak różne zarazem instynkty dziedziczne, tkwiące w duszach poszczególnych narodów, że w obliczu elementarnej siły tego faktu niczem okazała się powierzchowna wspólność pośpiesznie zapożyczanej ideologji oraz drogą naśladownictwa przeszczepianych instytucyj i organizacyj. Gdy na narody europejskie przyszedł okres, nie kończący się jeszcze wcale, tragicznych, podstawami ich bytu wstrząsających prób i doświadczeń, rzecz zrozumiała, iż nie zawierzyły się one na ślepo przepływającym aktualnie przez Europę doktrynom i prądom, lecz, nieświadomie częstokroć, dały folgę — lepszym czy gorszym, to rzecz inna — ale własnym, prawdziwie w nich istniejącym i mocnym instynktom lub chociażby nałogom.

Ujawniło się, w jakiej ogromnej mierze pojedyncze narody żyją wciąż własną, odmienną od innych przeszłością, jak bardzo różne, w odmiennych kolejach dziejowych źródło mające, trapią je niedostatki i choroby. Czyż w faszyzmie dzisiejszym nie spostrzega się świadomego całkiem nawiązywania do tradycyj włoskiego odrodzenia i średniowiecza? Czyż obecne niedomagania Polski i teraźniejszy nasz kryzys ustrojowy można zrozumieć, nie rozeznając w nich bolesnych skutków

---

[1]) H. G. Wells: „*In the fourth year*", London 1918 str. 92.

wykolejenia duchowego pokoleń, wychowanych w niewoli?

Dlatego conajmniej bardzo ostrożnie omawiać trzeba wszelkie ogólne, w jednaki sposób jakoby dokonywające się w Europie „zwroty" czy „przewroty" i wystrzegać się wyciągania naprędce wniosków, opartych na analogjach, odnoszących się do podobieństw jedynie zewnętrznych, nie sięgających w istotę rzeczy. Różnice pomiędzy ustrojem poszczególnych państw i między ich życiem politycznem, zarysowują się dzisiaj w sposób o wiele widoczniejszy, aniżeli przed laty kilkunastu. Różnice te są w praktyce bez porównania głębsze, niżby można było się domyślać na podstawie zestawienia porównawczego paragrafów obowiązujących formalnie ustaw konstytucyjnych. U nas, jak w Anglji, szefem rządu jest w tej chwili prezes klubu, rozporządzającego większością w izbach prawodawczych, ministrowie powołani są z łona tegoż klubu i rządzą krajem, opierając się na zaufaniu większości sejmowej. A jednakże w rzeczywistości ustrój obecny Polski odmienny jest od parlamentaryzmu angielskiego bodaj w wyższym jeszcze stopniu, niż p. Sławek odmienny jest np. od Pitta czy od Gladstone'a.

Trzeba jasno zdawać sobie sprawę, że dla „jedności europejskiej" nie wystarczy zniesienie urzędów celnych i wiz paszportowych, że w całym szeregu wypadków granice państw oddzielają od siebie światy odrębnych zupełnie instynktów, tradycyj, obyczajów, odmiennych całkiem zasad współżycia zbiorowego, rozmaicie bardzo urzeczywistnianych w tych czy innych formach ustrojów państwowych. Nawet masonerja, zrezygnowana, pogodziła się już, jak widać, z tym faktem niewątpliwym, i ażeby zachować swoje wpływy, w jednych krajach organizuje absolutystyczną dyktaturę, w innych — w imię hasła „wolności" — obala trony. W ciągu zgórą stu lat trwający eksperyment „ujednostajniania" Europy przez narzucenie jej wspólnych, z zasad wielkiej rewolucji francuskiej wywodzących się teoryj politycznych, tudzież wypływających z nich, jednakowych wszędzie form ustroju państwowego, zakończył się — widać to już dzisiaj wyraźnie — niepowodzeniem.

Nierychło jeszcze zapewne będzie mogła być odbudowana od fundamentów jej jedność rzeczywista, jedność w wielości.

JAN REMBIELIŃSKI

Z PEDAGOGIKI SANACYJNEJ

I

DWA wielkie eksperymenty etatyzmu pedagogicznego budzą obecnie zainteresowanie w świecie kulturalnym: jeden — to system wychowania faszystowskiego, drugi — to wychowania bolszewickie. Zarówno we Włoszech, jak i w Rosji partja, pochwyciwszy rządy, ujęła w swe ręce szkoły i inne instytucje wychowawcze, by za ich pośrednictwem ukształtować myśli, uczucia i wolę ogółu według swoich zamierzeń. Dwa te systemy wychowania państwowego są pod pewnym względem biegunowo sobie przeciwne. Faszyzm bowiem opiera się na nacjonalizmie włoskim i stara się zużytkować najszczytniejsze tradycje i najgłębiej w duszy włoskiej zakorzenione dążenia; bolszewizm natomiast zwraca się radykalnie przeciwko temu, co przeszłość i poniekąd prawa natury ludzkiej urobiły w duszy rosyjskiej. Pierwszy wyznaje idealizm, drugi — materjalizm. Oba jednak te systemy mają wspólną cechę, która je czyni interesującemi eksperymentami, tę mianowicie, że są usiłowaniem wcielania w życie, przez wychowanie, pewnych idej, leżących u ich podstaw. — Giovanni Gentile, Giuseppe Lombardo-Radice i inni twórcy reformy szkolnictwa włoskiego, to zarazem czołowi przedstawiciele kultury włoskiej, którzy talent swój sprzęgli z polityczną ideą Mussoliniego. — W eksperymencie bolszewickim zaciekawia znów dramatyczne zmaganie się utopij i życia. Jak to przedstawia Sergjusz Hessen, wybitny emigracyjny pedagog rosyjski, w szkolnictwie rosyjskiem dokonywa się ewolucja od usiłowań „pryncypjalnego" realizowania jak najdalej pominiętych utopij do coraz bardziej realnego rozwiązywania zagadnień wychowawczych i dydaktycznych. Eksperyment ten wykazuje zatem — jak się zdaje — jak rzeczywistość życia społecznego ze swemi prawami i potrzebami dochodzi do głosu mimo największe przeszkody.

Usiłowanie wcielania w życie pewnych ideologij — niezależnie od wartości, jakie w tych ideologjach upatrujemy [1]) — czyni tedy, jak powiedziałem, powyższe dwa systemy wychowawcze pouczającemi i ciekawemi. Nie ciekawa natomiast — zupełnie nie ciekawa! — jest imitacja faszyzmu w wychowaniu, jaką uprawia nasza „sanacja", naśladując objawy zewnętrznej „siły" bez wewnętrznej siły duchowej treści. Na szczęście nie przychodzi jeszcze na myśl naszym pseudofaszystom popisywać się swemi metodami i ich wynikami przed zagranicznymi gośćmi, którzy, jako nieznający języka, poprzestawać muszą na oglądaniu gmachów i wysłuchiwaniu objaśnień urzędowych przewodników.

Nie mogą istotnie być interesujące, dla człowieka z naszego świata, bezideowe usiłowania wyzyskania wychowania *ad usum* ludzi przy władzy będących. Allach jest jeden — ale proroków jego całe brygady! Nieciekawe też są frazesy, któremi zasłania się bezideowość. Poza Polską mogłyby one wzbudzić chyba uśmiech politowania. My tylko,

---

[1]) Nie zgodziłbym się np. z niepodpisanym referentem „Zrębu", który w n-rze 4 tego pisma daje sprawozdanie ze specjalnego, poświęconego szkolnictwu bolszewickiemu, numeru czasopisma „*Das werdende Zeitalter*" i tak czytuje w końcu bez komentarza: „Zagadnienie etyczne ogranicza się do przedstawiania za moralne tego wszystkiego, co współdziała dla dobra pracującego człowieka, za niemoralne, co jest przeciw temu. Nie uznajemy mówi autor (streszczanego artykułu niemieckiego) — wieczystej, ogólnej i absolutnej moralności, jak ją religja podaje, wiemy, że to, co dziś uchodzi za etyczne, może już jutro być złe. Nieprzychylnie usposobieni jesteśmy wobec wszystkiego, co religją jest i mistyką, uważając je za przeszkody w dziele postępu. Chcemy, aby dzieci nasze weszły w życie bez lęku i trwogi, żeby wszystko, co jest ich życiem, umiały sobie wytłumaczyć ze stanowiska wiedzy, a nie zabobonu. Estetycznej stronie życia otwieramy wszystkie zmysły dziecka, chcemy, by stało się wrażliwe na wszystko, co piękne, i tu posługujemy się wszystkiem, co życie może wzbogacić i pięknem uczynić! Tylko, że za piękno uważamy to jedynie, co życie naprzód rwie, a wszystko, co czyni dziecko lękliwem i nieśmiałem, staramy się ze szkoły usunąć. A rezultaty? Autor widzi je już w pokoleniu fizycznie zdrowem, głodnem życia, chcącem i umiejącem spuścizny ojców bronić i wzbogacać ją. Społecznie wyrobione, wolne od bezpłodnych dociekań, ale nie powierzchowne, rośnie p o k o l e n i e p r z y s z ł y c h p i o n i e r ó w c u d n e g o s n u o l u d z k o ś c i."

Znakomity pedagog amerykański J. Dewey wypowiedział się o systemie wychowania bolszewickiego, że jest to największy eksperyment pedagogiczny, znany dotąd w świecie, on jednak, Dewey, musi wyznać, iż rad jest, że eksperyment ten nie dokonywa się w jego własnym kraju.

w Polsce, musimy je brać na serjo i przejmować się niemi poważnie, bo stanowią one jednak niebezpieczeństwo dla zdrowia duchowego przyszłego naszego pokolenia.

Był okres, gdy wychowywać się miało w myśl „ideologji Marszałka Piłsudskiego". Daremnie jednak domagano się takiego sformułowania tej „ideologji", ażeby mogła dawać wyraźne, pozytywne wskazania. Zachodziła obawa, że młodzież zacznie się jej doszukiwać w słynnych mowach i wywiadach. Zaczęto tedy głosić hasło „wychowania państwowego". Rychło okazało się, że jest to nowa nazwa na tę samą, wstydliwie ukrywaną, chęć zapewnienia sobie przez „sterników" jutra podobnego do dnia dzisiejszego.

W Nr. 2 b. r. „Myśli Narodowej" zreferowałem poglądy autorytatywnego teoretyka „wychowania państwowego", p. Janusza Jędrzejewicza, który każe wychowawcy przygotować młodzież „do tego życia, które istnieje w danym czasie i miejscu, istnieje naprawdę" — i nie dać się porywać „ułudzie przygotowywania młodzieży do dalszej przyszłości". Wychowawca ma być wykonawcą zarządzeń władzy i na tem koniec.

W przemówieniach sejmowych ministra Czerwińskiego i posłanki Jaworskiej podkreślony został dobitnie kult osób jako najważniejszy składnik wychowania „państwowego".[2]) Przemówienia te są zresztą wybitnym przykładem zasłaniania próżni ideowej „mocnemi", bo pełnemi pogróżek, słowami.

W braku głębszej myśli trudno o program. Tworzenie programu pozostawiono też usłużnej domyślności wykonawców, których gorliwość[3]) pobudza się groźbami i zastraszającemi przykładami (środek analogiczny do procesów moskiewskich o sabotaż). Gdy w słynnej akcji pocztówkowej, która doprowadziła — jak pisały dzienniki — do niemożliwych, zdawałoby się, w Polsce faktów znęcanie się nad dziećmi przez nauczycieli, społeczeństwo wyraziło oburzenie z powodu stosowania przymusu, — jeden z najtypowszych przedstawicieli panującego systemu oświadczył, że bynajmniej nie życzy sobie wywierania przymusu, — wszystko ma się odbywać dobrowolnie, ale.. według wyniku tej „dobrowolnej" akcji będą oceniane szkoły, dyrektorowie i nauczyciele. Podobnież, nakazano wychowywać „państwowo", nie dano określonego programu, ani wyraźnych wskazówek, ale... przy wizytacjach zapytuje się dyrektorów, jaki mają program wychowania państwowego i jak go stosują, pozwalając się domyślać dalszych z tego konsekwencyj...

[2]) Nasuwa się tu mimowoli przykład „lokowania ideału w ludziach", znamiennego jako objaw patologiczny dla dorastającej młodzieży — zwłaszcza żeńskiej, — przykład, który Prof. St. Baley przytacza na str. 185 swojej „Psychologji wieku dojrzewania" (1931): „16-letnia dziewczyna, której ideałem jest Piłsudski, tak pisze o nim do starszej swojej przyjaciółki: „Bardzobym też chciała mieć forsę, nawet nie dla stosunków. Tylkobym założyła potężną organizację w myśl słów Merezkowskiego: „Stańcież więc wszyscy, jak jeden mąż, wokół wielkiego wodza, wybrańca Bożego, Józefa Piłsudskiego... jeżeli uczynicie to, to uratujecie Polskę i — być może — uratujecie świat". Zresztą ją wcale nie chcę ratować świata, ani nawet Polski (jestem strasznie podła), tylko chcę tego dla jego miłości... Mereżkowski uważa go za wybrańca Bożego, wysłanego ku uratowaniu świata od Bestji (bolszewizmu) i uwielbia go, że zbawia świat i Polskę; j a u w i e l b i a m P o l s k ę, ż e j e s t z b a w i o n a p r z e z n i e g o" (podkr. moje).

[3]) *„Usjerdje"*. Język rosyjski ma w tej dziedzinie znacznie bardziej od naszego udoskonaloną terminologję.

To też w całej pełni rozkwitły objawy oportunizmu rozmaitego stopnia i gatunku. Strach podsuwa najbardziej bizantyńskie pomysły. A gdy zbyt uboga fantazja zawodzi, sięga się do wypróbowanych wzorów austrjackich czy rosyjskich — jak np. ten dyrektor w Złoczowie, który kazał się młodzieży kłaniać na ulicy dowódcy garnizonu, staroście i burmistrzowi.

Są też i gorliwcy, chcący zwrócić na siebie łaskawe oko władzy i zasłużyć na wyróżnienie i awans przez umiejętność „podejścia" do sprawy „wychowania państwowego."

(Dokończenie nastąpi) W. ZAWADZKI

NAUKA I LITERATURA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Ostatnią nowością na rynku wydawniczym jest K o s s a k - S z c z u c k i e j „Dzień dzisiejszy", „powiastka współczesna", jak ją autorka nazwała. „Powiastka" ta odbiega daleko od dotychczasowych utworów autorki („Pożoga"—„*Beatum scelus*"—„Złota wolność"—„Legnickie pole") i sprawia pewne rozczarowanie. Cechą główną „dnia dzisiejszego" jest „tempo" naszych czasów. Fabuła miłosna, dość banalna, nowych momentów do powieści polskiej nie wnosi, osoby występujące szkicowane, mało plastyczne. Ale fabuła miłosna, aczkolwiek ciągnie się przez całą książkę, nie jest bynajmniej najważniejszą rzeczą w powieści. Służy ona autorce do uwag o „dniu dzisiejszym" w Polsce, uwag *n. b.* luźnych, nie obejmujących wielu charakterystycznych momentów naszych czasów. Najlepiej potraktowała autorka zagadnienie kryzysu rolnictwa, większych własności, kryzysu finansowego u nas. Charakterystyce „pieniądza" poświęca autorka najlepszą kartę swej powieści. Niektóre bolączki naszych czasów scharakteryzowane są wspaniale: utrudnienia formalistyczne przy staraniach o kredyty, brak pieniądza z jednej strony — z drugiej zaś hojne, nierozumne szafowanie nim (budowa wspaniałych, luksusowo urządzonych banków). Plastycznie występuje cała kalwarja tych nieszczęsnych, którzy dla ratowania swej ziemi zmuszeni są starać się o kredyty, napotykając przy tem na poniżenia i trudności rozmaitego rodzaju.

Do ważniejszych zdarzeń współczesnych, poruszonych w „Dniu dzisiejszym", należą także uwagi o P. W. K. z szeregiem krytycznych spostrzeżeń co do organizacji pewnych działów (jako ziemiankę interesują p. Szczucką przedewszystkiem pawilony ziemiańskie) — Doskonałe są opisy pewnych epizodów (Prezydent Rzplitej w Ozorkowie, mecz *hockey*'owy w Zakopanem, *bridge* u Kosińskich, *table d'hôte* w pensjonacie) podpatrzone, uchwycone i oddane po mistrzowsku, świadczące o dużym talencie satyrycznym autorki, pełne swojskiego, jasnego humoru. Przykre natomiast są dygresje polityczne: obowiązkowe kojarzenie „endeka" z masonami, dyskusja na temat „Pierwszej Brygady" (w tej kwestji wypowiedział się na łamach „Gaz. Warsz." prof. Surzycki). Jeśli autorka chciała jako jedno z zagadnień współczesnych wpleść politykę, podejście do tej kwestji powinno było być poważniejsze. To, że cała powieść jest raczej wypoczynkiem autorki (*Non semper tendit arcum Apollo...*), że potraktowała ją autorka humorystycznie, nie zwalniało ją od pewnej delikatności w traktowaniu tych spraw. Wybitną pisarkę, za którą uważamy p. Kossak-Szczucką, obowiązywała jej dotychczasowa karjera pisarska.

Wśród poruszonych kwestyj „dzisiejszych" nie brak też Boya i „Dziewic Konsystorskich", dyskusyj na temat rozwodu „*sexe apelle*"u i t. p.

Powieść napisana jest zajmująco, ale poważnej pozycji w dorobku autorki nie stanowi. (A. J.)

*

„Dniem dzisiejszym" nazwać by można również zbiór nowel i feljetonów Perzyńskiego, które „Rój" wydał już po śmierci autora (Wł. Perzyński: „Pralnia sumienia" „Rój" 1930). Z właściwą sobie wnikliwością, bystrością i inteligencją porusza Perzyński mnóstwo zagadnień dnia dzisiejszego, jedne specyficznie warszawskie, inne ogólniejszej natury. Z lekką ironją i subtelnym humorem przesuwa Perzyński przed nami rozmaite przykrości, które każdy dzień z sobą wnosi, czy to w życie rodzinne, czy to w miłość, w stosunku kobiety z mężczyzną, dzieci z rodzicami i odwrotnie, analizuje trudności wychowania, rozmaite kombinacje i warjacje na temat

kobiety, miłości, sportu, aktualnych wydarzeń. Obrazki i sceny, którym się przyglądamy, wydają się w pierwszej chwili zupełnie specyficzne, oderwane, dalekie od szablonu codziennego, bez znaczenia ogólniejszego. Ale tylko w pierwszej chwili. Są one w rzeczywistości, w lekkiej formie, rozważaniami obyczajowo-społecznemi, o głębokiej nucie uczuciowej. Perzyńskiego dar satyryczny uderza szczególnie w tych feljetonach, które powstały z okazji pewnych aktualnych wydarzeń („Dzień autora, Podsłuch telefon."), które nastręczają autorowi sposobności do rozważań na temat naszego snobizmu, rozmaitych ludzkich słabości. W skąpych, zwięzłych zdaniach, na dwuch—trzech kartach, takie mnóstwo spostrzeżeń, że wystarczyłoby na gruby tom uczonych rozważań filozoficznych, ekonomicznych, obyczajowo-społecznych. Ogromna kultura autora przebija szczególnie w tych feljetonach, gdzie autor mimochodem potrąca o politykę („Odznaczenie"), wywiązując się z tej delikatnej materji z ogromnym taktem. Nowelki robią wrażenie, jakgdyby pisane były z pośpiechem (Lorentowicz uważa improwizację za charakterystyczną cechę twórczości Perzyńskiego) — a jednak styl jest nienagannie czysty, wytworny, obrazki wykończone, pobudzające czytelnika do głębszych refleksyj, niż długa powieść, zdumiewające swem jasnem i trafnem ujęciem. Epizod banalny, na któryby mało kto zwrócił uwagę, przybiera w ujęciu autora znaczenie ogólniejsze, czaruje swą oryginalnością, bawi dowcipem, tłumi głośny śmiech ironją, z umiarem stosowaną, subtelna dyskrecja feljetonów stanowi jedną z niezaprzeczonych zalet talentu Perzyńskiego. Mimo szkicowego ujęcia postaci, występują one bardzo wyraziście, żyją pełnem życiem środowiska, w którem je autor umieścił, nieomylne oko psychologa, przenikliwy dar obserwacji, całkowite opanowanie finezyj językowych stanowią inne bezsprzeczne zalety talentu Perzyńskiego. „Pralnia sumienia": niedarmo nadał autor temu zbiorowi feljetonów wspólny ten tytuł, gdyż stanowią one w istocie syntetyczny (choć nie kompletny) obraz dzisiejszej obyczajowości i części życia polskiego. (A. J.)

*

Udanym debiutem nazwać należy zbiorek krótkich nowelek Włodzimierza Popławskiego p. t. „Tancerka" (Wydawnictwo Polskie, Poznań). Młody autor ujawnił w nim trzy zalety: żywość i plastyczność słowa, znajomość charakterów ludzkich i dar artystycznej kompozycji, wybijający się zwłaszcza w zręcznem operowaniu *pointe*'ą, zazwyczaj o zacięciu wisielczo-humorystycznem. Taki nastrój mają przedewszystkiem „Dwa listy", opisujące psią zaiste dolę „pechowca", uchodźcy — rozbitka z armji Wrangla. Podobnie — choć mniej nieszczęśliwie — układa się dola innego, dobrowolnego już włóczykija, który w latach dziecinnych śnił o podróżach w egzotyczne kraje, ale przekonał się, że ów egzotyzm stał się dziś już tylko „pospolitą bujdą", bo wszędzie w świecie zapanował uniform pseudo-cywilizacji z saksofonami, patefonami Columbia, tramwajami, maszynkami do golenia etc. etc... nawet jednakowo „wszędzie pada deszcz"... Pełna humoru jest nowela „Salon fryzjerski Benia Micmana"—o żydku z Suwałk, który dzięki różnym, niezbyt czystym sprawkom wyszedł na miljonera w Ameryce. Niejednokrotnie opowiada Popławski o dziejach czy dancingu, czy nocy sylwestrowej, czy innej wesołej zabawy, w które wplata — dla kontrastu — smutne dzieje serca ludzkiego; z opowiastek tego rodzaju najcelniejsza jest „Pani Felicja", uderzająca prawdą psychologiczną i lirycznym sentymentem. Liryzmu najwięcej jest w noweli p. t. „Pies", która i tematem i nastrojem przypomina potrosze „Burka" Jana Wiktora. Niektóre natomiast nowele — taki „Rewolwer" naprzykład — zalatują nieco „chandrą" i humorem typu rosyjskiego. Całość w każdym razie pozwala mieć dobre nadzieje na przyszły rozwój młodego talentu, który może niewątpliwie się pogłębić i przy większym spokoju twórczym zdobędzie się na dzieła bardziej esencjonalne od tych przelotnych, choć barwnych i żywych, iskierek. (J. B.)

*

Zaczynają się nakoniec spełniać życzenia szerokiego ogółu, którym nieraz wyraz dawano w prasie. Zbiorowe wydanie pism Henryka Sienkiewicza, podjęte wspólnie przez Zakład narod. im. Ossolińskich i firmę Gebethnera, ruszyło nakoniec z martwego punktu. Po dwuletniej zgórą przerwie, datującej się od czasu ogłoszenia „Bez dogmatu" i „Połanieckich", wydano obecnie cztery tomy nowel, mieszczące w sobie opowieść „Na marne", następnie dwie „Humoreski z teki Worszyłły" (szkoda, że odjęto im obecnie ten wspólny tytuł), trylogję „Hani" (pod zbiorowym tytułem „Z natury i życia") oraz pokłosie nowelistyczne z lat pojubileuszowych (1902 — 1915). Do tego pokłosia przez pomyłkę zaplątał się „Kordecki" — nie jest to bowiem nowela, ale feljeton, który był powinien znaleźć miejsce w dziale publicystyki. W noweli „Nikt nie jest prorokiem między swymi" przykro rażą dość liczne usterki korekty drukarskiej w tak częstych zwrotach francuskich (np. str. ?, 17). Pozatem jednak całość przedstawia się nader starannie, zarówno pod względem graficznym jak i wydawniczym; układ całości, jak wiadomo, zawdzięczamy prof. Chrzanowskiemu, który jako znawca twórczości Sienkiewicza zajmuje naczelne miejsce w Polsce. Z radością zakomunikować możemy, że w opracowaniu prof. Chrzanowskiego ma się ukazać nowe, uzupełnione wydanie Sienkiewiczowskich „Pism niewydanych i zapomnianych"; zasługę tej publikacji, będącej już w przygotowaniu, dzieli z prof. Chrzanowskim prof. Stanisław Jurek, b. redaktor „Ziemi Przemyskiej", który od lat dziewięciu z ogromnym wysiłkiem pracy i poświęcenia zbiera rozproszone w Polsce i poza Polską różne ulotne pisma Sienkiewicza (zwłaszcza z lat wojny), odkrywa jego rękopisy i gromadzi olbrzymie materjały bibljograficzne. (J. B.)

*

Tak jak poprzedni zbiór humoresek, pod zapożyczonym od Wilkońskiego tytułem „Ramoty i ramotki", tak i nowa książka generała Władysława Wejtki, z przedmową prof. Henryka Mościckiego (Warszawa, Wyd. „Kroniki Rodzinnej") zawiera szereg zabawnych opowiadań z życia wojska rosyjskiego w czasach przedwojennych. Armja ta, świetnie wyposażona w szatę zewnetrzną i wytresowana ostrym regulaminem ćwiczeń, imponowała efektownemi paradami na uroczystościach państwowych i dworskich, ale jako siła militarna zawodziła wskutek braku nowoczesnej inicjatywy organizacyjnej. Stałą też bolączką tej armji, od czasów długoletnich rządów Mikołaja I-go, była intendentura, wprawna w oszustwa i fałszerstwa, i wogóle w umiejętność kradzieży grosza publicznego. Stąd wieczny głód i nędza żołnierzy, tłumione rygorem życia koszarowego. Autor, były oficer rosyjski, satyrycznem piórem charakteryzuje te stosunki, cytując z życia prowincjonalnych garnizonów różne komiczne zdarzenia. Treść powiastek rozgrywa się w Rosji, a i na ziemiach polskich pod rosyjskim zaborem, i wiąże się z wypadkami wielkiej wojny, które spowodowały rozluźnienie i rozpad carskiej armji. Zaletą książki „Z niedalekiej przeszłości" jest dar opowiadania, werwa i dowcip. (A. W.)

*

Interesująco przestawiają się dwa ostatnie numery „Przeglądu Powszechnego", wydaw. przez ks. Jezuitów w Krakowie. Pomijając ryzykowne wywody polityczne ks. Urbana w numerze styczniowym, zawiera „Przegląd Powszechny" kilka dobrych rozpraw i artykułów. Z dziedziny literackiej ciekawa jest praca Falkowskiego p. t. „Rodzimość i cechy artyzmu powieści Sienkiewiczowskiej" i Tretiaka: „Hilary Belloc". Z recenzjami p. Zahorskiej możnaby dłuższą i zasadniczą polemikę przeprowadzić. Kwestje religijne porusza ks. Pastuszek („Sentymentalizm religijny"), ks. Siwek („Konnersreuth w świetle nauki i religji") i p. Skowrońska („U źródeł rusyfikacji Kościoła na Litwie po r. 1863"). Ciekawie ujęte są zagadnienia społeczne: aktualny artykuł „O karalności przerywania ciąży", nie mniej jak i sprawa „walki z handlem kobietami i dziećmi" oraz „Handel narkotykami a Liga Narodów". Na czoło lutowego zeszytu wybija się praca F. Konecznego: „Etyki i cywilizacje". (A. J.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

„*Marthe Pierron*", *(Louis Querelle édit)*, młoda dorodna wieśniaczka dostaje się do Paryża, gdzie pracuje jako modniarka. Niedoświadczone jej serce dozna jednak prędko sentymentalnego zawodu. Wówczas Marta powróci do swej wioski, bardziej niż kiedykolwiek tajemnicza, urocza, podupadła na zdrowiu, ale pragnąca i żyć i kochać. Na wsi też pozna jednego ze swych sąsiadów, Jana Sellier właściciela ładnej posiadłości Tchirou. Sellier podobnie jak Marta zakosztował egzystencji miejskiej, gdyż mając literackie ambicje udał się do Paryża, chcąc sobie wyrobić nazwisko i przyszłość pisarską. Wyrzekł się jednak tych iluzyj i powrócił na ziemię ojców, którą teraz z umiłowaniem uprawia.

Autor też tej powieści, p. Théodore Chèze nie odtwarza nam tylko ewolucji uczuć przyjaźni i miłości, jakie dokonują się w sercach Marty i Jana, ale także opisuje z głębokiem odczuciem sceny z życia wiejskiego, monotonnego i poetycznego, pełnego prostych i wielkich porywów. Typy też jego wieśniaków są prawdziwemi typami chłopów z ich zaletami i wadami. Marta Pierron zaś stanowi poniekąd postać symboliczną tej silnej i pięknej rasy. Powieść ta zawiera także niezmiernie ciekawe i subtelne stronice, poświęcone szczęściu, jakie dwoje istot może zrealizować nie zapomocą pieniędzy, czy też sławy, ale dzięki obopólnej miłości. (I. B.)

*

Literatura polska, która szczyci się nazwiskami dwóch laureatów Nobla, ma prawo żądać, by znaną była szerokiemu światu; stać się to może nietylko dzięki przekładom naszych arcydzieł na obce języki oraz doraźnym artykułom w pismach zagranicznych, ale w niemniejszym stopniu dzięki specjalnym książkom, które informują zagranicę o całokształcie lub pewnych momentach naszej literatury. Do takich należy np. wydana niedawno broszurka Aurelji Wyleżyńskiej *„L'emigration polonaise en France"* (1831—1863) i zajmująca się tymże okresem angielska książka Juljana Krzyżanowskiego, którą swojego czasu na łamach „Myśli Narodowej" omówił prof. Wł. Tarnawski. Całokształt dziejów literatury polskiej opracowano dotychczas w dwóch tylko językach; angielskie dwie książki— piękne pod wzgl. literackim, choć nie wolne od drobnych omyłek rzeczowych — napisał prof. R. Dyboski, w języku niemieckim istnieje gruntowny podręcznik Brücknera. Obecnie w wydawnictwie *„Handbuch der Literaturwissenschaft"* (Poczdam) ukazała się obszerna książka *„Die Polnische Literatur"*, napisana przez prof. J. Kleinera. Nad podobnemi wydawnictwami góruje ona przedewszystkiem swą szatą zewnętrzną. Ozdobiona jest bowiem kilkudziesięciu naprawdę pięknemi ilustracjami, które unaocznić mogą czytelnikowi niemieckiemu, że Polacy mają nietylko bogatą literaturę ale i sztukę malarską niezgorszą; przytem lepiej utrwalają one w jego pamięci główne fakty, opowiedziane w samej książce— z konieczności — nader zwięźle. Zwięzłość ta nigdzie nie wpada w oschłość i szablon. Kleiner potrafi tutaj w niewielu słowach dużo powiedzieć, scharakteryzować dane dzieło czy daną postać plastycznie i wyraziście; celem wywołania lepszego zrozumienia sięga nieraz do analogij między literaturą polską i niemiecką — nie uciekając się jednakże do taniej „wpływologji". Nie przeceniając ani nie wyolbrzymiając żadnego z pisarzy — co w dobie dzisiejszego panegiryzmu i reklamiarstwa tak często się spotyka — jednakże i nie bez dumy podkreśla zasługi literatury polskiej w ogólnoludzkim dorobku; np. „Lillę Wenedę" nazywa słusznie „najwspanialszą tragedją doby romantycznej". (J. B.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

JEDYNIE wartość artystyczna dzieła sztuki powinna decydować o jego przyjęciu na wystawę. Lekceważenie tej oczywistej i, zdawałoby się, łatwej do zrozumienia prawdy, daje zawsze w ostatecznym swym rezultacie wyniki niepożądane. Komitet obchodu imienin J. Piłsudskiego powziął zamiar uczczenia go wystawą obrazów (Salon Wiosenny u Baryczków). Z tego powodu w sali portretów p. ministra spraw wojsk. znalazły się obrazy o poziomie dotychczas na pokazach Instytutu Propagandy Sztuki nie spotykanym. Dlatego jedynie, że były podobiznami solenizanta. Lecz może przez palce patrząc na jakość dzieł, komitet osiągnął przynajmniej cel zamierzony? Nie wydaje mi się, gdyż jak trudno kogoś uczcić np. głupim toastem, tak też zapewne i kiepskim obrazem. Jest jeszcze i inna sprawa. Wystawienie przez artystę na tym Salonie imieninowym staje się jednocześnie jakby złożeniem hołdu solenizantowi. Mamy zupełne prawo wymagać, aby malarz malował jaknajlepiej, ale czy ma składać życzenia, czy nie i w jakiej formie, to już chyba jego sprawa osobista. W łączeniu tych dwuch odrębnych czynności ze sobą jest może pewien swoisty dowcip, ale taktu niewiele.

Czytelnik zechce wybaczyć, że w kronice artystycznej, nie sztuce musiałem poświęcić kilka słów wstępnych. Nie moja wina. Powróćmy teraz na teren właściwy. Wiosenny Salon podzielono na trzy wystawy: portretów marszałka, pośmiertną 3-ch legjonistów i bieżącą. Sala portretów J. Piłsudskiego zawiera jego podobizny w malarstwie, rzeźbie oraz grafice. Prace graficzne są rezultatem ogłoszonego w swoim czasie konkursu na portret marszałka lub scenę z jego życia. Mimo b. wysokich nagród plon konkursowy jest nad wyraz znikomy i o poziomie niezmiernie nizkim. Jeżeli tak się przedstawiają prace nagrodzone i zakupione (a tylko te nam pokazano), to możemy sobie wyobrazić jak wyglądała reszta! Wystawione ryciny nietylko nie czynią zadość wymogom portretu oficjalnego, choćby najskromniej pojętym, lecz urągają poprostu prymitywnym zasadom rysunku. Chlubny wyjątek stanowią litografje Jaworskiego i Śrzednickiego. W dziale podobizn malarskich poważnie traktować możemy tylko obraz Kokoszki. Mały, pełen życia obrazek Krzyżanowskiego, górujący nad całą wystawą, wyobraża raczej osobę prywatną. Portret Z. Grabowskiego, b. szczęśliwie pomyślany (*à la* Rigaud), w szczegółach razi niestety nietęgą fakturą. W dziale rzeźby zwraca uwagę model pomnika, T. Breyera, z dobrze skomponowaną w ruchu figurą i głową, w czarnym dębie, silnie stylizowana — A. Karnego.

Oto i wszystko, o czem warto było mówić. Niewiele. Gdyby ktoś na podstawie obejrzenia tej sali, chciał wnioskować o ogólnym poziomie naszego malarstwa, niewesołe byłyby wnioski.

Na szczęście nieprawdziwe. Jakież więc mogą być przyczyny tak fatalnego poziomu omawianej gałęzi naszej plastyki? Trzy, mam wrażenie, są tego najważniejsze powody. *Primo*: w sztuce polskiej nie posiadamy ciągłej tradycji portretu oficjalnego, taki typ wizerunku musimy dopiero stworzyć. *Secundo*: wielu artystów przystąpiło do wykonania portretu, bynajmniej nie z powodu zainteresowania się odrębnem i nowem zadaniem artystycznem, lecz w nadziei dobrego zarobku. (Stąd i wartość takich robótek obstalunkowych). *Tertio*: przy dowolnem wybieraniu tematu artysta może tak lawirować, aby bez uszczerbku dla dzieła ominąć niebezpieczne dlań rafy. W portrecie oficjalnym od pewnych rzeczy, jak np. dobrego w sensie akademickim rysunku, wywinąć się niepodobna. Nie bez ryzyka rozmaite nasze sławy poddały się tej ogniowej próbie. Rezultat wypadł dla wielu kompromitująco.

Wystawa pośmiertna trzech legjonistów: Włodzimierza Koniecznego, Kazimierza Młodzianowskiego i Wilhelma Wyrwińskiego ukazuje nam artystów, którym los nie pozwolił wypowiedzieć się w pełni. To, co po sobie zostawili, było jedynie zapowiedzią przyszłego plonu. Konieczny, znany szerszemu ogółowi jako ilustrator „Podhala" Tetmajera, w rzeźbie doszedł już do wcale pięknych wyników. Na wystawie znajduje się kilka jego rzeźb, o wyraźnych walorach dekoracyjnych i szczerej nucie sentymentu.

Wśród szkiców i notatek Wyrwińskiego zwracają uwagę przedewszystkiem znakomite rysuneczki, wyobrażające kolegów-legjonistów.

O wystawie bieżącej, *clou* Salonu Wiosennego — w następnym numerze. (W. P.)

*

Najważniejszą rzeczą jest talent: tej prawdy oczywistej — skoro mowa o artystach — nikt chyba kwestjonować nie będzie. Tuż obok talentu, jako nieodzowny warunek jego pomyślnego rozwoju, umieszczamy pracę. Czy na tem sprawa się kończy? Kto miał sposobność, poza zwiedzaniem wystaw artystycznych, obserwowania zbliska linji rozwojowej poszczególnych indywidualności, na dłuższej przestrzeni czasu — stwierdził, że nie. Rozpatrywane szczegółowiej, omawiane zagadnienie okazuje się bardziej skomplikowanem, niż to się napozór wydawało. O ostatecznym wyniku trudu artysty, poza pracą i talentem, decyduje jeszcze i wiele innych rzeczy. Obszerniejsze rozpatrzenie tematu (wraz z przykładami) mogłoby się stać zaczątkiem ciekawego studjum. Tutaj ograniczę się do wymienienia kilku ważniejszych przyczyn, składających się, wraz z dwiema już wzmiankowanemi, na ogólny taki, lub inny rezultat wysiłku artystycznego. Są niemi świadomość dążeń, nieustanna i czujna kontrola dotychczasowego dorobku, pewna dyscyplina psychiczna, oraz, nadewszystko, umiejętność racjonalnego gospodarowania otrzymanym darem bożym — talentem.

Uwagi powyższe nasunęły mi się przy oglądaniu wysoce wartościowego zbioru prac p. Jadwigi Umińskiej na kwietniowej wystawie Zachęty. Umińska jest rówieśnicą „łukaszaków" i jeżeli nie należy do ich grona, to nie ze względu na poziom swego malarstwa (b. wysoki), lecz dlatego chyba, że Bractwo ślubowało wieczny celibat. Na wystawie U., jakby dla zestawienia, znajduje się między innemi jeden z jej obrazów szkolnych, typowa i solidna praca akademicka. Za dzieło z okresu przejściowego możemy uważać *panneau* dekoracyjne do pałacu w Czyżowie, próbę zerwania z dawnym, spatynowanym kolorytem przy typowej jeszcze, dla pracowni Pruszkowskiego, technice wtapiania koloru w kolor (zasada: mokre w mokre) i rysowaniu barwą. Pozostałe obrazy to już świat własny. Wielu „łukaszaków" maluje coraz lepiej, ale ciągle t a k s a m o jak w szkole; Umińska zdobyła się na dzielny, iście nie niewieści, w stosunku do swojej twórczości, krytycyzm. Rezultatem tego kroku są zdobycze w zakresie barwy (część prac jest wyraźnem zadaniem na kolor) i podejście do opracowywanego tematu od strony wyrazu. Wyraz i barwa — oto co najbardziej zdaje się pasjonować artystkę. Wyniki dotychczasowych usiłowań dowodzą, że w parze z talentem i pracą idzie tu szereg ważkich właściwości charakteru, o których wspominałem na początku. Po wyzwoleniu się z kolorytu, w swoim czasie wszechwładnie panującego w pracowni Pruszkowskiego, daje się spostrzec w obrazach Umińskiej przelotne, miejscami, nadużycie koloru w niektórych pracach olejnych, z czego artystka napewno niebawem się wykaraska. Pobyt w Paryżu pozostał zapewne nie bez wpływu na jej malarstwo, wpływu jednak oddanego w służbę własnym koncepcjom. Poza obrazami olejnemi U. wystawiła szereg mniejszych prac, malowanych temperą i akwarelą, o charakterze dużej bezpośredniości, wyrazistych i śmiałych w kolorze. (W. P.)

OFENSYWA

KSIAŻKI O TEATRZE

ODKĄD człowiek pamięcią sięgnie, zawsze był i bywał: kryzys teatralny. W tem dziesięcioleciu większy, w następnem mniejszy, potem znów „groźny", „katastrofalny", by jeszcze w następnem zmienić się na... „chroniczny"... No i tak w kółko. Był już czas przyzwyczaić się do tych kryzysów i nie brać ich dosłownie serjo. Dopiero teraz, niestety, kryzys ostatni należy już traktować jako sprawę całkiem serjo. Notują go wszędzie, w całej Europie, głównie w Italji, w Niemczech, w Anglji. Rzecz dziwna, że tylko w Sowietach teatr nie stracił swych magnetycznych mocy (w Moskwie 44 sceny!) W Berlinie, w dawnej stolicy solidnego literackiego teatru, upadek na całej linji; w Paryżu kwitną tylko bulwarowe teatry i autorzy najpłytszego typu.

Nas obchodzą i winny obchodzić przedewszystkiem nasze bolączki. Krach na całej linji. Właściwie tylko już dwa miasta wchodzą w rachubę dla twórczości polskiej, jako ryzykujące wystawianie autorów polskich i utworów o wartości literackiej, t. j. Warszawa i Poznań. Łódź, licząca czterykroć sto tysięcy mieszkańców, mająca wcale piękne tradycje z czasów Gawalewicza a później Zelwerowicza, jako „rynek" teatralny, odpadła już całkiem. Lwów, żeby jeszcze przyciągnąć rozpierzchającą się publikę, gra przeważnie autorów cudzoziemskich. Kraków dzisiejszy polskich autorów literalnie nienawidzi i woli najtandetniejszego Węgra, byle nie „warszawistę"; stolica G. Śląska, Katowice, jako „spożywca" polskiego dorobku dramatycznego się nie liczy, tak jak nie egzystuje już Lublin, który przed wojną miał wcale znośny „wóz Tespisa". Wogóle symptom animozji miast prowincjonalnych do autorów polskich, granych w stolicy, ta ich przekorna ambicja stwarzania sobie własnego repertuaru i nie poddawania się gustom stolicy i to ich rozmiłowanie w cudzoziemszczyźnie (głównie w amerykańskiej) zasługują na baczniejszą uwagę. W rezultacie definitywnym jednak i wszędzie na prowincji ten sam katastrofalny spadek frekwencji i staczanie się do bankructwa.

Przyczyn i powodów wyrecytowaćby można wiele.

Przedewszystkiem ogólne sanacyjne spauperyzowanie Polski, nędza i bieda inteligencji, wolnych zawodów i stanu urzędniczego. Dalej: hegemonja widowiskowa kin, tańszych i przystępniejszych, bo niedomagających się „salonowego" ubierania się, uczesania, ogolenia, wymycia i wykąpania. Dalej: s p o r t y, odciągające młodzież męską, oraz równoznacznie: d a n c i n g i. odciągające młodzież żeńską. Dalej: teatry r e w j o w e (których w Warszawie jest aż sześć) i możność oglądania girlasów-golasów, łechcących chucie mobu.

Nie należy atoli, gdy mowa o dobijaniu teatru, zapominać i o negatywnej, destrukcyjnej „zasłudze" pewnego typu recenzorów, wyrabiających sobie „firmę" systematycznem masakrowaniem i skalpowaniem autorów rodaków.

Od tego typu s k o r p j o n ó w krytycznych potworne cięgi cierpią ci wszyscy autorzy, którzy już się zdawna zaakredytowali przy teatrze, a stosunkowo łagodniej traktowani są ci autorzy, o których powodzeniu i zainstalowaniu się w teatrze na stałe zgóry już można wątpić. Faworytem jedynym, któremu s k o r p j o n y berlińskie, amerykańskie, włoskie i w a r s z a w s k i e pozostały wierne, jest nadal G. B. Shaw, jako presumptywny destruktor burżuazji, nihilista i amoralista; natomiast już Pirandello, zrazu oblubieniec skorpjonów (jako zapoznany) z momentem zdobycia sobie przemijającej popularności wypadł z łaski. Skorpjony w krytyce teatralnej mocno się też przyczyniły do upadku teatru, skoro, nie trzeba tego zatajać, one tylko są czytane przez zblazowaną inteligencję (pożądającą jak najwięcej soli i pieprzu). Skorpjony, dokumentując zgryźliwie, jadowicie, a niekiedy nie bez pozorów słuszności, że to wszystko, co ta burżuazyjna publiczność już chciałaby oklaskiweć, to kretynizm, marazm, małomieszczaństwo, *bluff*, spekulacja, wulgarność, „białogwardyjskość" lub passeizm, odstręczają i odwodzą od teatru tę gromadę, która nie chcąc dać sobie imponować tandecie, zaczyna stadowo wtłaczać się w otwarte paszcze kinoteatrów i solidaryzować w swych emocjach z ulicznym mobem. A że w produkcji kinowej bywają raz poraz i arcydzieła tej globalnej, wielkokapitalistycznej Muzy, więc nie można się dziwić, że z odwrotem publiczności, z zanikiem dawnego teatru, jałowieje też wszędzie twórczość rodzima i staje się dosłownie do kroćset djabłów nie do zniesienia...

Gdy się przegląda dwa tomy „pokłosia" recenzenckiego Jana Lorentowicza, odczuwa się już czarno na białem, że ten przynależy także do „gasnącego świata", do pewnej ery kulturalnej, która już odchodzi, by nigdy nie wrócić, bezpowrotnie. To jakby pożegnanie ostatnie z piękną, chlubną przeszłością, ze „złotym wiekiem"... Po dwudziestu latach asystowania przy kilkuset premjerach zebrane, jako *repetitorium* z tej zmierzchającej epoki, dokumenty, dowody tego, że teatr jako Instytut Ideowy istniał i spełniał ongiś ważną funkcję w życiu duchowem społeczeństwa. Ten entuzjazm szerokich rzesz, jaki się teraz obserwuje na... meczach piłki nożnej, te emocje, jakich doznają teraz tłumy na... filmach „talkiesach" z Hollywood, ta radość życia, radość zapatrzenia i zasłuchania, jaka teraz panuje w teatrzykach rewjowych, to niegdyś było udziałem, towarzyszyło... premjerom i to nawet literackim premjerom! *Tempi passati*... *Tempo felice*... Bywaliśmy przecież świadkami narodowych (jakby greckich) misterjów teatralnych. Premjery się celebrowało... Bywali kapłani i arcykapłani. Szły dymy kadzidlane, ofiarne. Ekstaza ogarniała zwykłych zjadaczy chleba... Dyskusjom nie było końca...

Lorentowicza obie serje kollokwiów krytycznych ewokują z pamięci te czasy, kiedy teatr i w Polsce bywał agorą i Eleusis i Oberammergau i Bayreuthem Wagnerowskim. I stąd ta powaga dostojna i ta *maiestas* kaznodziejska, nauczycielska, nieomal kapłańska, z jaką się po dziś dzień nosi i z jaką pisywał swe krytyczne medytacje Johanaan Lorentowicz, teatrolog, *pontifex* i serjo uczony w piśmie. Dla niego nie był to żaden tylko flirt z Melpomeną. To była „zbożna" służba Talji i „prostowanie ścieżek Pańskich" i wołanie patetyczne, a to o szacunek i o ciągłość wielkich tradycyj, a to o żelazny kapitał repertuarowy, a to o klasyczny styl w prezentacji wielkiej poezji.. romantycznej, a to o repertuar więcej narodowy (kryptoendek?) a to o wyrazistą dykcję i deklamację i t. d. zamierzchłe delikatessy i finessy, o których dzisiaj nikt „serjo" już serjo nie mówi. Nie bez wzruszenia czyta się teraz te Lorentowicza kazania „świętokrzyskie" o teatrze... passeistycznym, pełne solidnej erudycji a nie pozbawione wdzięku i lekkości. Pisarz ten rzetelnie starał się kształcić i urabiać świadomość artystyczną audytorjum, kultywować miłośnictwo w tem, co dały uznane autorytety, firmy, wielkości, a oswajać z pewnemi tendencjami odrodzeniowemi, ze świeżem nowatorstwem, z reformami niezbędnemi, tak tu jak i wszędzie...

Caeterum censeo: teatr w Polsce ratować jeszcze można nietylko przez zdemokratyzowanie widowni (najprzystępniejsze ceny), ale także i przedewszystkiem przez zlikwidowanie dzisiejszego typu recenzorów w codziennej prasie. Gatunek cały dawno już skazany na zagładę, obumierający (w talentach), luksusowy, zbyteczny. Stwierdza to raz jeszcze lektura dwóch tomów J. Lorentowicza, krytyki z ery „gasnącego świata".

Recenzentów zlikwidować a teatrowi się ulży. Tak ja to widzę i radzę.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Było coś bardzo symbolicznego w zjawisku, które ostatniej niedzieli dało się oglądać w Wilnie. Podczas gdy inne dzienniki wyszły na świat, jak zwykle, w skromnych szatach, sanacyjne „Słowo" ukazało się w całym przepychu 36 stron wielkiego formatu. Cóż to za bogactwo!

Gdy czytelnik, po zajrzeniu do środka, przekonał się, że „Słowo" spuchło tak od ogłoszeń, wtedy wykrzyknął: jakiż to kraj zamożny ta Wileńszczyzna! Jakże wspaniale tam kwitnie życie gospodarcze!

Po bliższem wejrzeniu jednak—przerażenie. Tytuł ogłoszenia zajmujmującego 32 strony druku, brzmi: „Zarząd Wileńskiego Banku Ziemskiego podaje do wiadomości", że w maju i czerwcu wystawia na licytację... Następuje wyliczenie 1800 nieruchomości miejskich i wiejskich!

Ciężka lektura! Miło wszakże pomyśleć, że zarobił na tem dobrze dziennik, organ radosnej twórczości.

Nie brak w dzienniku sensacyj innych: oto opisy wielkiej powodzi, która kresy nawiedziła, niosąc zniszczenie.

*

„Gazeta Polska", reprezentująca obozu sanacyjnego myśl, sens, ton, styl, smak, wdzięk i umiejętność pisarską, kończy swoją filipikę przeciwko stronnictwu narodowemu „Siła czy prawo?" (nr. 115) temi słowy:

> „A teraz, gdy złudzenie to prysło, z bezceremonjalną obłudą krzyczą o „panowaniu siły nad prawem", — w chwili, gdy zgodnie i w niewątpliwym interesie państwa działa skoordynowana wola Głowy Państwa, Rządu i izb ustawodawczych — bo nie jest to zgodne z ich partyjnym interesem. *Sapienti sat!*"

Ta wstawka o „niewątpliwym interesie państwa" może służyć za wzór zręczności stylistycznej. Teraz nie wiadomo, co jest zgodne lub niezgodne i z czyim „partyjnym interesem". Do tej gmatwaniny słów dodać na zakończenie „*sapienti sat*" — to istotnie „bezceremonjalna obłuda". Bo kto tu ma być mądry? Czy ten co czyta, czy ten co napisał, czy ten co za tę tandetę pisarską płaci?

TREŚĆ: Ojcom na chwałę *J. Kasprowicza.*—Autoportret Michała Bobrzyńskiego *A. Marylskiego.*—Gwiazda literacka: Norwid *Z. Wasilewskiego.*—Na widowni *J. Rembielińskiego.*—Z pedagogiki sanacyjnej *W. Zawadzkiego.*— Nauka i literatura. — Ze świata sztuki *W. P.* — Ofensywa *A. Nowaczyńskiego.* — Na marginesie.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 619-57. Zielna 47. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.